ADAM STASZCZYK.

POEZYE

POEZYE

ADAM STASZCZYK

POEZYE

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1902

NAKŁADEM AUTORA.
KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

WSTĘP.

Nie wytrącajcie lutni z mej ręki,
Jeśli niekiedy uderzę w struny,
Bo choć nie cudne wydają dźwięki,
Nigdy nieszczere nie płyną tony.

Utwory moje z wiejską prostotą
Piszę, bo nie znam form, ni prawideł —
W niekształtnych bryłach zostawiam złoto
I górnolotnych nie pragnę skrzydeł.

Nie szydźcie, proszę, cóż szkodzi światu,
Nim mnie w znużeniu sen ukołysze,
Gdy spracowany wyjdę z warsztatu,
W chwilach spoczynku dumam i piszę.

Nie mnie się mięszać w poetów grono,
Bo czyż im mogę choć w części sprostać?
Ich dusze wyższem natchnieniem płoną —
Ja się nie mogę z poziomem rozstać...

Bo nasza ziemia tak pełna czarów,
Urocza w smutku, czy to w radości,
A zawsze hojna, nie szczędzi darów,
Obdarza wszystkich iskrą twórczości.

NASZA EWANGELIA.

Świątynią wszystkich pracowni domy —
Warsztat ołtarzem, jako stół boży, —
Praca modlitwą, bo z niej widomy
Dobrobyt kraju się mnoży.

Kto od owego pracy ołtarza
Stroni i życie w lenistwie traci,
Nędzę na przyszłość sobie wytwarza
I wzgardę dzielnych współbraci!

Gdy samowolnie, w zgubnym zapędzie,
Rzemieślnik pracę swoją porzuci,
Rdza wtenczas stępi ostre narzędzie —
Pierwotny połysk nie wróci.

Cisza w warsztacie i pustka głucha,
To są upadku główne choroby...
Strzeż się tych chorób, jak złego ducha;
Cisza... — bezczynność... — to groby.

DO BRACI!

Bracia od młotów, hebla i szydła!
Koledzy w rzemiosł drużynie!
Prędzej do lotu nastrójcie skrzydła,
By postęp uwieńczyć w czynie.

Chcąc ratunkowej szukać kotwicy,
By podnieść »przemysł krajowy«,
Trzeba do wiedzy zajrzeć skarbnicy
I z nią rozpocząć wiek nowy.

Chcąc z zagranicznym porać się tłumem,
Co nam pożera kęs chleba,
Trzeba go pierwej zwalczyć rozumem...
Tego nam, Bracia, potrzeba!

CUDZE LEPSZE.

Za granicą, za granicą, —
U nas w kraju wszystko liche, —
Tam i gwiazdy lepiej świecą,
Tam powietrze zdrowe, ciche.

Za granicą wynalazki,
Lepszy wyrób i towary, —
Bądźmyż dumni z tejże łaski,
Że nam swe sprzedaje dary.

W naszych ludziach ciemne dusze,
Brak zdolności, brak nauki, —
Za granicą genijusze,
Świadczą o tem dzieła sztuki.

Słowem: u nas nie wypada
Chwalić, ni kupić dar Boży,
Póki zagraniczna rada,
Swej pieczęci nie przyłoży.

Tego dziś jesteśmy zdania,
Uprzedzeni do... ślepoty,
Ganić, co swe, bez pytania,
Byle obcych wsławiać cnoty.

I tu mistrze się znajdują,
Lecz ich z kraju wypędzamy,
Bo zawiele nas kosztują,
Dla nich chleba tu nie mamy.

W obcej więc pracują stronie,
A wcale o tem nie wiemy,
Że, co ich stworzyły dłonie,
My za obce uznajemy.

URYWKI OBRAZKOWE.

Chcesz na wyrób zbyt mieć liczny,
Za potrójną sprzedać cenę:
Ogłoś, że to zagraniczny,
Nie bierz za godło Syrenę [1]...
  Boć to w modnym przecież tonie
  Ogrzać węża przy swem łonie.

O, naiwny! Szukasz pracy!
Zdolność i patenta za nic,
Bo tu w cenie tylko tacy,
Co przybędą z poza granic.
  Oni — w świetle! My — wśród cieni,
  Niedołężni, bo... zgnębieni.

Chcesz się żenić, a za żonę
Majstra córę pragniesz dostać...

---

[1]) Godło jednego z miast polskich.

Ach, żądanie to szalone!...
Wymaganiom jakże sprostać,
    Gdy córunia rzemieślnika
    »Wyżej patrzy!« swych unika!...

Tu znów ojciec, gdy zobaczy
Już występne wady w synu,
Rzuca klątwę nań z rozpaczy:
»Bo cię oddam do terminu!«
    ...Po co straszyć tak młodzieńca?
    Dać go lepiej do... Studzieńca![1])

A jednak...
Rzemiosło, bracia, to oś bez końca,
Około której zawody inne,
Jako planety w około słońca,
Są pod obrotem osi tej czynne.
    Czemuż w rzemiośle, tej osi czynu,
    Widzimy ciernie, zamiast wawrzynu?

---

[1]) Studzieniec: osada pod Warszawą dla moralnie zaniedbanych chłopców.

NA CZEŚĆ
WYSTAWY POWSZECHNEJ WE LWOWIE

Patrzcie wy wszyscy, żądni polskiej zguby,
Coście zagładę poprzysięgli nam,
Jak was zawiodły haniebne rachuby,
Dzisiaj wam Polska rzuca w oczy kłam.

Słuchajcie, wrogi. Tam na stryjskiej górze,
Pod której stokiem leży miasto Lwów,
Polska, posłuszna Bogu i naturze,
Przed wami nigdy nie ugnie swych głów.

Tam patrzcie, tłumy, z podniesionem czołem,
Do jakich potęg doszedł polski lud,
Iż mimo więzów, gdy ujęty społem,
Wiedzę i pracę w jeden łączy cud.

Bo nie ujarzmić ducha, co ulata
Tam, skąd natchnienia spływa święty prąd,
Nie wstrzymać orła, co w przestworze świata
Krąży. A tylko Bóg ma nad nim sąd.

Polsko! nie zginiesz, bo ziemi Twej kręgi
Pracą zdobędziesz. Czołem padnie wróg,
I pracą dojdziesz do dawnej potęgi,
Bo sprawiedliwość sam wymierzy Bóg.

Odsłoń podwoje, Świątynio Wystawy!
Niech u wrót Twoich każdy schyli skroń,
Chociaż wiek minął od krwawej rozprawy,
To Polska przecież silną dzierży dłoń.

We Lwowie, 1894.

NAGRODA.

Cały plac Ujazdowa, od brzegu do brzegu,
Zastawiony w altany, pawilony, groty —
To wystawa rękodzieł. Jak w jednym szeregu
Zbiegły się tu rzemiosła kunsztowne roboty,
Co wabią znawców oczy i nieznawców tłumy,
Jedna praca na drugą rzuca promyk jasny,
Tak pełno w nich piękności, a w nas pełno dumy
Że to wyrób nie obcy, lecz swojski i własny.
Z ust do ust przebiegają wystawców imiona,
Publiczność je powtarza, nie szczędząc zapałów,
Ich uznaje za wielkich, lecz »małych« — zasłona
Kryje zawsze... i nikną — w morzu kapitałów.

Właśnie był to dzień sądu. Oto sędziów grono
Spotykamy już w jednym z żelaznych namiotów.
Ostatni przedmiot ściśle badano, sądzono
I dostrzegli (jak zwykle) błąd pośród przymiotów.
A była to z żelaza kutego ambona,
Kształt rzymskiego rydwanu, klasycznej budowy,

Przy osi wystające u tegoż ramiona
Tworzyły pokonanych dzikich wężów głowy,
Na których trzech aniołów, jak dzwona wygięte,
Zdaje się, że jeden z drugiego wyrasta,
Prawe ręce w sam środek jako szprychy spięte,
Dłonie silne objęły łeb wężów, jak piasta.
Ambona, czyli rydwan z kołami z aniołów
Stał na kuli żelaznej, jak na ziemskim globie...
Wtem zarzut upatrzono, że na jednę z połów
Globu rydwan się chyli, w ukośnej budowie.
Zwłaszcza jeden ze znawców dowodził zajadle
(Wykazał to cyrklem, libelą i pionem),
Że rydwan na swej kuli nie jest prostopadle, —
I wartość całej pracy zniżył jednym tonem.

— Rzemieślnik sfuszerował! — fabrykant zawoła,
I z gniewu wstrząsł się cały, załamując dłonie —
Trzeba być niegodziwcem, trzeba nie mieć czoła,
By niebacznie zapomnieć o cyrklu i pionie! —

Gdy fabrykant inaczej nie tłómaczył błędu,
Usłyszano u wnijścia zgiełk i zamięszanie...

To twórca, ów rzemieślnik, wtargnął tam, bez względu
Na chwilę uroczystą...

W nieładzie ubranie,
Wytarte i ubogie na zwątlonem ciele,

Świadczyło o ubóstwie i chorobie człeka;
Usta drgały... choć zwarte, mówiły tak wiele,
Ile wzrok sam wyrzucał błyskawic zdaleka,
By odeprzeć zarzuty jego arcydzieła.
Widocznie resztki głosu, jak przed trybunałem,
Wydobył z głębi serca, — co dusza objęła,
Mówił jasno, odważnie, z gasnącym zapałem:

— Rzemieślnik sfuszerował! — wyrzekł to z po-
[gardą. —
Czy już głębiej, sędziowie, myśl wasza nie sięga,
Że przyrządem mierniczym pracę moją twardą
Chcecie sprawdzić, czy prosta? Artyzmu potęga
Da się mierzyć i odczuć, ale duszy okiem,
Co przejrzy aż do głębi nurty oceanu.
Gdyby wam tylko piękno płynęło potokiem,
Prędzejby nasunęło myśl bożą rydwanu.

Że nie stoi do pionu? bo się na szczyt wspina
Mownica naszej wiary, miłości, nadziei,
Z niej w biegu nieskończonym Bóg nas upomina
Słowami, które natchnął usta kaznodziei.
Tak pojąłem me dzieło i takiem zostanie.
Poprawić, znaczy zepsuć, ja myśli nie zmienię,
Mam li szablon, nie artyzm kłaść na pierwszym
[planie,
Żal się Boże rzemiosłu... lepiej tłuc kamienie. —

Tak wykładał rzemieślnik dowody niezbite. —
Niby nikt z grona znawców wyjaśnień nie słucha,
Jednak wywarł wrażenie, źle wprawdzie ukryte,
I odkrył piękną stronę, wzniósł nad poziom ducha
Tak, że wszyscy uznali wielkość tej »roboty«:
Otoczyli wystawcę jak solenizanta,
I — z całem namaszczeniem — wielki medal
[złoty
Przypięli, cni sędziowie, na pierś... fabrykanta!

— A ja! — krzyknie rzemieślnik — gdzie dla mnie
[nagroda?
Pryncypał dostał medal, co sławy przysporzy,
Jego imię i firmę każde pismo poda,
A rozgłos do zarobku podwoje otworzy.
Wasz byt już zapewniony, chlebodawcy hojni,
Zasypiacie bez troski, otoczeni zbytkiem,
Wy — o życie, o przyszłość, o jutro — spokojni
Bo trud wasz opłacony i wzrasta z dobytkiem.
Ale my! których losy w waszych rękach giną?...
Za zdrowe siły z młodu czy tyle płacicie,
Aby się czem zasłonić przed czarną godziną,
By na starość przed głodem zabezpieczyć życie?
Spojrzyjcie! Legiony żebraczych postaci,
Oto finał bolesny pod waszą opieką;
Kij i torba, nic więcej, gdy zdrowie utraci,
Lub gdy w waszych fabrykach zostanie kaleką.

I mnie tam pójść za nimi, znajdę moje druhy,
Znałem ich w sile wieku, dziś starców zobaczę,
Dziś zgrzybiali..., kalecy..., dawni pracy zuchy...
Ot! nasza karyera! rzemiosło tułacze!... —

Zaśmiał się gorzko, strasznie, otarł czoło z potu,
Kaszel stłumił mu uśmiech, głuchy, cierpki, pusty;
Krokiem chwiejnym, niepewnym podążył z namiotu,
By zaczerpnąć powietrza zsiniałemi usty
Do piersi zapadniętej, a z ciężkim oddechem
Szeptał klątwę czy modły już niedosłyszalnie.

Fabrykant wraz sędziami odeszli z pośpiechem,
Lecz na ucztę, by medal wieńczyć tryumfalnie.

* * *

Już dawno po północy wydzwoniły wieże,
Brzask słońca już przedzierał szatę nocy siną,
Już i ludek pobożny spieszył na pacierze,
Wlokła się garstka panów z zbyt wesołą miną.
Prowadzili na czele swego fundatora,
Na którego fraku medal złoty błyska,
Powtarzali rozmowę, rozpoczętą wczora,
Lecz na temat wesoły, w słowach humor tryska...
Aż oto, tuż na skręcie, o bruk kamienisty,
Potknął się nasz fundator, zatoczył i runął

Na jakieś ciało martwe... a wzrok jego mglisty
Nie dostrzegł, gdy się medal odpiął i zesunął
Na zimną pierś człowieka i wgniótł pod ciężarem...
Towarzysze biesiady z hałaśliwym śmiechem
Podjęli swego druha i mięszanym gwarem
Poszli dalej, a słowa dobiegały echem
Na karb martwej istoty: To pijak!... ladaco!
Upił się i przewrócił — dowodzili gniewnie,
Miast się, jako my, zająć użyteczną pracą,
Ludziom drogę zawala!... To rzemieślnik pewnie! —

I znikli w mgle porannej, niby pod osłoną.
A medal uroniony, jakby z powinności,
Pozostał i połyskiem olśnił zimne łono,
Jakby miejsce odnalazł godne swej wartości,
I przylgnął do tej piersi, siłą przeznaczenia
Dziś martwej, a tak pełnej bożego natchnienia.

Później nieco, gdy słońce na dobre powstało,
Zwłoki czyjeś podziwiać zbiegł się ludek tłumny.
Grabarz przybył i zabrał. Biedne ludzkie ciało
W grób poszło, bez nazwiska, bez księdza i trumny.

SKAZANY.

Już tłum się zbiega ze wszystkich stron miasta,
Ciągnąc na błonia porośnięte trawą,
Za każdą chwilą liczba widzów wzrasta,
Zdala gościniec bieleje kurzawą.

Cóż tam na błoniach — czy nie figiel nowy,
Który chwilowo publiczność zachwyca?
Co znaczy ten słup gruby, kwadratowy —
Czy dla zabawy? — Nie... to szubienica.

Ten słup pionowo do ziemi wkopany
Możnaby nazwać shańbienia kolumną,
Na której, wisząc, umiera skazany, —
Ten słup mu łożem śmiertelnem i trumną.

»Prowadzą więźnia!« — krzyczy tłum zebrany. —
Wojskiem i ludźmi otoczon dokoła,
Przy nim Kapucyn, on, skuty w kajdany,
Idzie i zimny pot ociera z czoła.

Jakież to myśli musi mieć ten człowiek —
Wie, że mu zdusi gardło stryczek ciasny,
Wie, kiedy skona bez zawarcia powiek,
I wie, że idzie na swój pogrzeb własny.

Ale ów zbrodniarz, choć na śmierć skazany,
Dziwną łagodność miał w swojem wejrzeniu,
Na twarzy spokój; śmiertelnie odziany,
Szedł i słów księdza wciąż słuchał w milczeniu.

Za nim szła żona z rozpuszczonym włosem,
Z dzieckiem na ręku, przy niej synek mały,
Jęczała tylko ochrypniętym głosem,
Tuląc swe dziatki, które wciąż płakały.

Doszli nareszcie — już stoją przy słupie —
Rozkuto z kajdan — a on, jak liść drżący,
Choć go owiało jakieś zimno trupie,
Z dumą spoglądał na swój grób stojący.

Oprawca stryczek przesunął przez bloki
I małe stopnie postawił na przodzie,
Pod pachy więźnia zapiął pas szeroki,
Gdy ludek chórem wołał: »Kat! kat jedzie«.

O tak, to kat był w czerwonym ubiorze,
Jechał w karecie a wkoło Ułani,

Pędzili wartko, co koń zdążyć może,
Jak o nagrodę wyścigów zwołani.

Już są u mety; o wszechwładne nieba,
Ileż tu wojska, ile ludu czeka,
Co przygotowań i świadków potrzeba,
Ażeby zabić jednego... człowieka...

Kat szybkim krokiem szedł do swej ofiary,
A sędzia wyrok raz jeszcze odczytał,
By naród słyszał przyczynę tej kary,
Nakoniec więźnia łagodnie zapytał:

— »Jeśli masz jeszcze co do powiedzenia,
Możesz wyjawić, lecz spiesz się, albowiem
Jeszcze minuta do twego stracenia«. —
A więzień odrzekł: »Pozwalasz, więc powiem:

Ja ze żyjących wykreślony listy,
Mniemanej zbrodni i wieki nie zmażą,
Lecz to nieprawda, bo umieram czysty,
Mylnie zostałem zbryzgany potwarzą.

Choć moja dusza za chwilę uleci,
O przebaczenie już ja was nie proszę,
Ale, od hańby broniąc żonę, dzieci,
Moją niewinność wobec Boga głoszę.

Wówczas wracałem dość późno ze straży,
Spiesząc do domu przez ulicę ciemną,
Wtem jakiś człowiek — miał maskę na twarzy —
Wyskoczył oknem, dwa kroki przedemną.

Stój! — zawołałem — Nie ujdziesz tak snadnie!
Lecz on mnie siłą na ziemię przewrócił,
Potem przez okno, którem wybiegł zdradnie,
Czapkę z mej głowy do pokoju wrzucił

I znikł bez śladu — jak gromem rażony,
Nim się zdołałem podźwignąć z kamieni,
Już był dom cały ze snu przebudzony,
Nie wiem, kiedy mnie stróż zawlókł do sieni.

Oprzytomniawszy, tłómaczę rzecz całą,
Lecz z jakimż strachem i zdumieniem razem
Patrzyłem na to, co się wtenczas działo,
Gdy mnie nazwano... nazwano zbrodniarzem.

Jakto! jam zbrodniarz?! — krzyknąłem z rozpaczą. —
Odpowiedziano: — Wszak tu jest ślad świeży,
A plamy krwawe na rękach, co znaczą?
Wszak twoja czapka jeszcze tutaj leży!...

Więc wszystkie na mnie walą się poszlaki:
I krew na rękach zdrapanych i sińce,

Ale ja wtenczas nabyłem te znaki,
Gdym chciał istnego przytrzymać złoczyńcę.

Kto mnie uwierzy? kto z tylu set osób?...
Tyle dowodów na pozór prawdziwych,
Ilu to ludzi stracono w ten sposób,
Ileż zostało sierot nieszczęśliwych«...

Zapłakał biedak, aż drżały ramiona,
Chciał żegnać żonę, swe dziatki kochane,
Mógł tylko wzrokiem tulić ich do łona,
Bo ręce silnie miał pokrępowane.

— »Żegnam was! — wyrzekł — żegnam cię, Barbaro!
Wpajaj w twe dziatki, aby zapomniały,
Że ojciec zginął tak haniebną karą —
Lepiej, by o mnie nigdy nie słyszały.

Dzięki ci, mnichu! Tyś mnie błogosławił,
Abym przed Bogiem stanął w białej szacie;
Teraz, gdy wszystko jużem wam wyjawił,
Mogę umierać... Ty wieszaj mnie, kacie«. —

Już kat wyskoczył na tylną drabinę.
Rzuca się żona, wojsko ją odpycha,
Rwie bujne włosy, gryzie wargi sine,
Krzyczy w obłędzie, to znów jęczy zcicha.

Zaledwie węzły na złowrogim sznurze
Dotkły się krtani, by spełnić powinność,
Gdy jakiś człowiek białą chustką w górze
Wiewał, by wstrzymać zamierzoną czynność.

»Wstrzymaj się kacie! prześwietny sąd w błędzie,
Nie płacz niewiasto, twój ból się uśmierzy,
Skoro ci powiem: Mąż wisieć nie będzie,
Bo stryczek kata tylko mnie należy.

Tak, panie sędzio, słowa tego człeka
Były prawdziwe, co wyznał przed chwilą.
Ja tym zbrodniarzem! a sąd nie docieka,
Nie bacząc na to, że pozory mylą.

To jam go zabił, nie dla złota wcale,
Lecz, aby pomścić mój honor stracony...
Gdym przez lat dziesięć siedział w kryminale,
Niewinniem został przez niego wtrącony.

Przebacz, mój drogi, niesłusznie sądzony,
Iż cię w niegodne zawikłałem pęty,
Lecz byłem wtenczas wściekły, odurzony
Zemstą i cały żądzą krwi przejęty.

Milczałem dotąd, ale głos sumienia
Coraz to silniej dręczył moją duszę,

Wszak już nic tutaj nie mam do stracenia,
Czemuż mam innym zadawać katusze?

To Bóg natchnieniem me usta otworzył,
Lecz wy mnie za to karać nie będziecie;
Duch mój zbłąkany zbudził się i ożył,
Chcę być sądzony..., lecz na tamtym świecie!«

Ledwie te słowa wyjęknął pod nosem
I zanim sędzia do niego się zbliżył,
Dobył rewolwer, coś szepnął półgłosem,
Wystrzelił..., upadł..., za chwilę już nie żył.

»A więc to prawda, złe się nie ukryje,
Więźniu, tyś wolny! ten ci wraca życie«.
— »Cóż mi z wolności? alboż ona zmyje
Piętno mej hańby? czy wy rozumiecie...

Nie pragnę życia, gdy stryczek na szyi
Zostawił ślady niczem niezatarte,
Piętno, żem shańbił honor familii,
Cóż mnie z wolności!? Co me życie warte?« —

Lecz gdy go zdjęto zaraz z szubienicy,
Spojrzał na żonę, omdlałą, z dziatkami,
Strumień łez w jego zabłysnął źrenicy,
Ściskał ich, pieścił wolnemi rękami.

— »Barbaro moja! nie przyjąłbym łaski,
Gdyby nie miłość i piecza mężowska;
Mam cię opuścić? zatruć życia blaski?
Nie, tak nie będzie, tak nie chce moc boska«. —

Czyjeż to pióro jest opisać w stanie? —
Ten tylko pojmie, kto był z widzów blizki,
Radość tej żony, płacz i powitanie,
Zda się, że zgniotą ich wspólne uściski.

Tak się skończyło: kat zniknął jak w toni,
Wojsko wracało kurzawą spowite
I lud się rozszedł, a kapłan i oni
Żegnali zwłoki całunem okryte.

ROMANS.

Nad brzegiem Wisły usiedli w cieniu:
Dziewczyna obok młodziana,
Któremu w czułem jego spojrzeniu
Utkwił ten wyraz: »kochana!«

A chociaż jasny promień księżyca
Przebijał gęste leszczyny,
Daremnie ujrzeć pragnie ich lica,
Lub poznać rysy dziewczyny.

Zefir wciąż igrał z puklem warkoczy,
Piersi namiętność tłumiące,
Żarem błyszczały jej czarne oczy,
A wargi drgały milczące.

Ale młodzieniec jasnego czoła,
Marzyciel raju w przyszłości,
Modrem swem okiem patrzał w anioła
I szeptał słowa miłości.

Napróżno — słowem jej nie rozczuli —
Zamilkł na chwilę i wzdycha,
Wziął ją za rękę, do ust swych tuli,
Ona go zwolna odpycha.

Niby odpycha, a pragnie przecie,
Bo, choć go bardzo kochała,
Choć był jej milszym nad wszystko w świecie,
Wyznać mu tego nie chciała.

— »Gdy uporczywie milczysz, dziewczyno,
Na me zaklęcia tyś głucha,
Powiedz choć słowo, jaką przyczyną
Twe serce słów mych nie słucha?

Powiedz, czy kochasz mnie, ubóstwiana,
Czy tylko szydzisz i dręczysz?...
Jam ci już przysiągł, żeś jest kochana...
Ty mnie milczeniem zamęczysz!« —

Dziewczyna, choć go bardzo kochała
I on wzajemnie ją kochał,
Nigdy mu tego wyznać nie chciała,
Choć przy niej klęczał i szlochał.

I znowu cisza, tylko westchnienia
Niekiedy słychać stłumione...

Ale młodzieniec, niby z niechcenia,
Na cytrze poruszył strunę.

I w tejże chwili, jakby natchniony,
By przerwać długie milczenie,
Zagrał na cytrze rzewnymi tony,
A w każdym tonie płacz, drżenie.

Czarowne dźwięki po falach wody
Echem zefirek rozwiewał,
Jako płaczliwe, tęskne zawody —
Miłość i boleść wyśpiewał.

W dziewiczem łonie zachwyt się budzi
I serce silniej uderza,
Bo ją muzyka pieści i łudzi,
I kruszy stałość pancerza.

Bezwiednie prawie na cytry strunach,
Którą młodzieniec miał w dłoni,
Oparła główkę, jak na całunach
Weselnych, wpośród róż woni.

I pierwsze słowo: »kocham — wyrzekła —
I ciebiem tylko kochała,
Jam z tobą życie Bogu przyrzekła,
Alem ci wyznać nie śmiała«. —

Czego nie zdziała potęga słowa,
Tego dokaże muzyka,
Bo melodya — najsłodsza mowa —
Najskrytsze myśli przenika.

Młodzian owiany jak róży tchnieniem,
Miłości wzmaga potęga,
Bóg był im świadkiem, a przyrzeczeniem
Uścisk i wspólna przysięga.

DO DZIECKA.

Luba dziecino, szczęśliwaś ty,
Póki cię matki otula dłoń,
Póki ci matka ociera łzy,
Gdy, kwiląc, rączki wyciągasz doń.

Lecz gdy z opieki wyrośniesz już,
Niejeden w życiu napotkasz cios,
Przejdziesz przez więcej cierni niż róż,
Wtenczas dokładnie poznasz swój los.

A gdy zmarnujesz dni młodych lat
I bezpowrotny ów życia bieg —
Już nie nagrodzisz niczem tych strat,
Już się dziecinny nie wróci wiek.

PIEŚŃ »SOKOŁÓW«.

Hej, Sokole! rozwiń skrzydła,
Wzrok wytężaj na przestworza;
Zerwij pęta, zerwij sidła,
Leć, gdzie jasna świeci zorza.
Ponad gór wyniosłych szczyt:
Tam wolności błyśnie świt.

Choć nam ziemię granicami
Prują wrogi i krew sączą,
Lecz Sokoły z Sokołami
Z wszystkich dzielnic się połączą.
Nad chmury puścim się w lot,
Tam niczyj nie sięgnie grot.

Naszem hasłem: miłość bratnia,
W pieśniach: rześkość i otucha,
Dla ojczyzny: krew ostatnia,
W każdym czynie: wzniosłość ducha.

Z orląt nasz wywodzim ród,
Gniazdem: podwawelski gród.

Gdy nam w gniazdo przemknie zdrada,
Dzikich sępów wpadną zgraje,
Niech Sokołów dzielnych stada
Zapędzą je w stepów kraje.
Gdzie szakal, hyena, dzicz,
Tam boży nie tleje znicz.

ŻA KRAJEM.

Dosyć mi świata — przepychów zmiany
Tych marmurowych gmachów i miast,
Gór niebotycznych, w wód oceany, —
Ja pragnę do mych powrócić gniazd. —

Podziwiam szczyty Alp, Pirenei,
W których powiewa chłodzący wiatr,
Lecz nawet w śnieżnej kocham zawiei
Pasma gór naszych, Pienin i Tatr,

Potężne morza i wodospady,
A po jeziorach gondola mknie...
Z niej Trubadurów śpiew serenady
Po modrym Golfie unosi się!

Majestatyczne wdzięki przyrody
I balsamiczna kwiecista woń,
Winnic, cyprysów i palm ogrody,
Jakżeż nie wielbić tę rajską błoń?

Wielbić piękności, poić się niemi,
Lecz miłość, serce, ciało i krew
Należą do mej rodzinnej ziemi,
Prawu natury nie pójdę wbrew.

Ja tęsknię tam, gdzie Wisła wstęgą
Z karpackich źródeł okala gród,
Gdzie pod włościańską białą siermięgą
Gorące serca zachował lud.

Ni tam okręty, ni tam gondole
Nie mącą srebrnych szemrzących fal,
Ale rybackie małe pacholę,
Śpiewając, łódką pomyka w dal.

Niema tu winnic, lecz orne pola,
Gdzie palmy więdną, dąb może rość,
Mniej tu przepychu, lecz milsza dola,
Bo w bujnych kłosach jest zboża dość.

Prowadź mnie prędzej, duchu skrzydlaty,
W moje ustronia, do kopca stóp,
Niech próg rodzinnej przestąpię chaty,
Tam ma kolebka, życie i grób.

PANNIE MŁODEJ.

Dobrej nocy, w snach anioła
Do spoczynku główkę złóż,
Lecz nie zaśniesz, bo do czoła
Wpiął się wieniec z białych róż.

Jutro rankiem ty z tym wiankiem
Rodzicielski rzucisz dach,
I twe skronie obce dłonie
Pieścić będą w złotych snach.

Sen to luby, sen uroczy,
Na tęczowej buja mgle,
Do snu całus zamknie oczy,
Rankiem całus zbudzi je.

W upojeniu, w rozmarzeniu
Dziewiczego wianka puch
Całus spłaszczy wśród rozkoszy
I niewieści zstąpi duch.

Ż A L.

Smutno mi, smutno, Siostro, po Twym zgonie,
Głucho i pusto po całej komnacie,
Tęsknota w sercu, oko we łzach tonie,
Pierś z żalu pęka po tak wielkiej stracie,
Nie mogę znaleść spokojności chwili,
Bo Cię już niema — niema Teofili.

Jak pączek róży, który się rozwinie,
Zerwany z krzaka, już doń nie przyrośnie,
Tak Ty zostałaś wyrwaną rodzinie
W zaraniu życia, w siedemnastej wiośnie.
Umkłaś w niebiosa przed tą życia chwilą,
Czemu tak wcześnie? Czemu, Teofilo?

Wszystko mi tutaj Ciebie przypomina —
Każdy Twój sprzęcik, każdy domu kątek,
Łoże, na którem zmarłaś, i godzina
Śmierci — należą do drogich pamiątek.
Nawet przed grobem kornie głowę chylę,
Bo on przykrywa moją Teofilę.

3*

Już Cię płacz matki ni braci nie zbudzi,
Głośniejszą będzie trąba Archanioła,
Boś bliższą Boga a zdala od ludzi,
Spoczywasz w niebie... — i nas Bóg powoła...
O niech się prędzej słońce życia schyla,
Cóż tu jest po mnie, gdy tam — Teofila?!...

CIENIOM SIOSTRY.

Ja Cię słyszę i kołyszę
Twój w mem uchu dźwięczny głos,
Widzę Ciebie, choć Ty w niebie,
Niby sierpem ścięty kłos.

Z bożej woli w smutnej doli
Zostawiłaś wszystkich Ty;
Nie żal Tobie leżeć w grobie
I na nasze patrzeć łzy?

Wiek dziecinny a niewinny,
Twoją postać, urok, wdzięk
Wzięłaś z sobą... a za Tobą
Niestłumiony został jęk.

Milszą była Ci mogiła,
Niśli cały boży świat?
Czy trumienka, czy sukienka,
Czyli ojciec, matka, brat?

Duch Twój czysty, jak srebrzysty
Promień słońca z pośród chmur,
Pobiegł w góry nad lazury —
I najlepsza znikła z cór.

Precz, marzenie! precz, złudzenie! —
Dosyć tych bolesnych prób...
Bo Ty żyjesz! lecz się kryjesz...
Tam Cię zimny tuli grób.

Znów się zjawia i przemawia
Biała postać w jasnem tle...
Strojna skromnie, mówi do mnie...
Boże! znowu widzę Cię!...

Lilijowy i mirtowy
Wieniec zdobi bladą skroń, —
Blady wieniec, jak rumieniec, —
Martwą kwiatów czuję woń.

Uśmiechnięta a ręczęta
Pieszczą bukiet z białych róż,
Ja Cię chyba wyrwę z nieba,
Siostro moja!... Znikła już.

Nie powrócisz, gdy porzucisz,
I ciernistych umkniesz dróg.
Tu marnością, tam wiecznością...
Dobrzy ludzie, lepszy Bóg...

BEZ SERCA.

Biedne serce, co kołaczesz
W mojej piersi bez odgłosu,
Nikt nie słyszy jak ty płaczesz,
Nikt nie dzieli twego losu...
Zamilcz lepiej, przestań bić,
Przestań o miłości śnić.

Zawiedzione, odepchnięte,
Marnieć tobie pozostało,
Mimo twe uczucia święte,
Niekochane, choć kochało...
Zamilcz lepiej, zostań w ciszy,
Twego bicia nikt nie słyszy.

Kochałem bez wzajemności,
Czemże mi odpłacał świat?
Szydzono z mojej miłości,
Deptano mej piersi kwiat...
Więdnij, jako kwiecie polne,
Skute w więzy... chociaż wolne.

Czemu Bóg, gdy stworzył ciebie,
Wyrył wszelkich uczuć piętna?
Aby tylko kochać siebie?
Nikt nie dzielił twego tętna?
Czemu krew w twych żyłach krąży?
Skąd wypływa?... dokąd dąży?

W mojej piersi za pół świata
Czuję serca głośne bicie,
Nikt nie wzywa... więc ulata,
Aż uleci z niem i życie...
Stygnie, niknie obraz czaru
Bez wspólnego serca żaru.

Zawsze samo — jakiż przedział
Broni wejścia w twoje łono?
Nikt ci »kocham« nie powiedział,
Ni miłością cię darzono...
Poco żyję w samotności,
Gdym bez prawa do miłości?

Gdy umrę, kwiatka do boku
Nikt nie przypnie, ani po mnie
Łza nie błyśnie w żadnem oku.
Sam na świecie i sam w trumnie...
Z serca, co kochało tyle,
Kwiat wyrośnie na mogile...

PIERŚCIONEK.

I.

Na gałązce przed oknami
Dwa wróbelki się zlatują,
Trzepotają skrzydełkami
I dzióbkami się całują.

A przy oknie w saloniku
Druga para, — on i ona, —
Młodzian szepce słów bez liku,
Lecz dziewczyna zamyślona.

Wreszcie ujął ją za rączkę,
Ukląkł, z ócz mu zapał tryska,
Na paluszek wdział obrączkę,
I do piersi swej przyciska.

— »Ja przysięgam! — rzekł chłopczyna —
Za rok wrócę o tej dobie,
Niech ten pierścień mnie wspomina, —
Lecz go zawsze miej przy sobie.

Miłość winna być zupełnie
Jak obrączki krągła ściana,
Raz spojona nierozdzielnie —
Jednolita, nieprzerwana.

Strzeż go, luba, od zepsucia,
Bo on taką siłą władnie,
Gdy mnie zwiodą twe uczucia,
Pierścień z palca ci upadnie.

Niezachwianej symbol cnoty,
Przyjmij, luba, biały kwiatek,
Symbol serca, pierścień złoty,
Rok niech czeka ten zadatek«. —

Młode dziewczę łezki roni,
Żal jej w piersiach więzi mowę,
Odsunęła włos od skroni
I na łonie sparła głowę.

— »Bywaj zdrowa, Pan Bóg z nami!« —
Młody chłopiec dosiadł konia,
Pędził cwałem dolinami,
Aże minął lasy, błonia.

— »Czy powróci? — dziewczę szlocha
I pytaniem główkę męczy —

Będzie kochać, jak dziś kocha?
I któż zato mi zaręczy?« —

Przeszło lato, jesień, zima,
Już i wiosna niedaleka,
A lubego jeszcze niema,
Dziewczę wątpi... ale czeka.

II.

Na gałązce przed oknami
Dwa wróbelki się zlatują,
Trzepią skrzydły i dzióbkami
Coś świergocą, coś zgadują.

Przy okienku w saloniku
Usiadł młodzian przy dziewoi,
Giętki, zgrabny, pełen szyku,
Mnóstwo jej żarcików stroi.

A tak zręczny w swej wymowie,
Lub gdy czasem jej zaśpiewa,
Albo lekki dowcip powie,
Dziewczę oto się nie gniewa,

Lecz, przeciwnie, wdziękiem, wzrokiem
Sama nęci, sama sprzyja,

On tysiącznych słów potokiem
Ją zachwycić nie omija.

Coraz śmielej, coraz bliżej,
Za firanki kryją głowy,
Znowu głośniej, to znów ciszej,
Aż zamilknął dźwięk rozmowy.

Bo... wróbelki na gałęzi
Podfrunęły z głośnem pieniem,
Choć ich zapach kwiatów więzi,
Pod okienka siadły cieniem.

Dziewczę patrzy na ptaszyny,
W przeszłej wiośnie je widziała
Na gałązce wśród olszyny —
I te same dziś poznała.

Z wiosną razem przyleciały!
Jak spójności węzeł sięga,
Chociaż taki ptaszek mały
Nic swej lubej nie przysięga.

Wśród tysiąca poznasz stada
Po skrzydełkach, po dzióbeczku,
Czy wy znacie, co to zdrada?... —
Zawstydzasz mnie, wróbeleczku...

Zbladło dziewczę, bo pamięta,
Chciała dłońmi zakryć lica,
Ale panicz jej rączęta
Do całunku wciąż pochwyca.

I dziewczynie szepce w łonie:
»Tyś niewierna«! — a więc z jękiem
Z jego rąk wyrwała dłonie,
Wtem... pierścionek upadł z brzękiem.

Dziewczę zrywa się z okrzykiem
I, nim zdąży podjąć ręką,
Przystąpiła: pod bucikiem
Na dwie części pierścień pęka.

Zbladło dziewczę, panicz widzi,
Ale nie śmie przerwać ciszy,
Ona ócz się podnieść wstydzi,
Tylko tętent konia słyszy.

I zadrżała... Jeździec znany
Już w galopie płot przeskoczył,
Już pod oknem koń bułany,
Do pokoju młodzian wkroczył.

— »Witaj, dziewczę! Bogu dzięki,
Znowuś przy mnie, jam przy tobie,

Daj mi uścisk twojej ręki,
Czy pierścionek masz przy sobie?

Milczysz? bledniesz? Co za zmiana?
Czy cię powrót mój nie cieszy?
Mało ceni ukochana,
Gdy kochanek do niej spieszy?« —

Panna nie śmie podnieść czoła,
Stygnie w żyłach krew gorąca,
Panicz do drzwi umknąć zdoła
I pęknięty pierścień trąca.

— »Ha! pojmuję, niegodziwa!
Nie kryj oczu w białej dłoni,
Łza, co po twem licu spływa,
Twego wstydu nie zasłoni.

Już nie spoisz ty pierścienia,
Wieczne na nim będą ślady,
A z miłości twej ni cienia,
Wszystko starło piętno zdrady.

Bywaj zdrowa, rozbrat z nami«! —
Młody chłopiec dosiadł konia,
Pędził cwałem dolinami,
Już nie wrócił z poza błonia.

— »Stój, na Boga!« — dziewczę woła —
I świętemi klnie słowami,
On nie słucha, a przez sioła
Echo niesie: »Rozbrat z nami«...

Żal dziewczynie za chłopczyną,
Już zapóźno szczęścia żąda,
Na wspomnieniach dni jej płyną
I przez okno wciąż spogląda.

Takie w życiu są koleje,
Ten, co zdradzał, był kochany;
Ten, co kocha i szaleje,
Zawsze bywa oszukany.

A wróbelki pod oknami
Z każdą wiosną się zlatują,
Skrzydełkami i dzióbkami
Wciąż jednako się całują.

WIANEK ULINY.

Nad Wisły brzegiem, między gęstwiną,
Stał mały domek, schylony wiekiem,
A w nim żył wieśniak z córką Uliną,
Piękną i hożą, niby krew z mlekiem.
To dziewczę, oprócz rodzinnej strzechy,
Starego ojca, w wiosce cmentarza,
Nie znało żadnej innej uciechy, —
A ciche modły u stóp ołtarza
Uszlachetniały siłę uczucia,
Od światowego strzegąc zepsucia.
Napróżno Oryl z sąsiedniej chaty
Wabił ją wzrokiem, wabił namową, —
Choć był przystojny, młody, bogaty,
Jednak dziewczyna zawsze surową.
Milczeniem zbywa, zejścia unika
I bojaźliwie przed nim się kryje, —
Ile go razy w drodze spotyka,
Zawsze jej serce złowrogo bije.
Po takiem właśnie widzeniu spieszy
Do domu, niosąc kwiatów fartuszek,

Na nic nie zważa, tylko ją cieszy,
Że świętojański puści wianuszek.
Czeka dnia tego z radością w oku.
Chociaż się Wisła wyżej podniosła,
Lecz przypływ bywa każdego roku,
Ona od dziecka nad Wisłą wzrosła,
Więc ją wezbranie wody nie smuci,
Choć już podmula płotek z wyciny,
Gdy jutro Wisłę wiankiem zarzuci,
Wszak to marzeniem było Uliny.
Ale niestety w wigilię Jana,
Gdy rankiem ojciec zbudził dziewczynę,
Już chatka wkoło wodą oblana,
A przez pękniętą we drzwiach szczelinę
Wpływa do izby woda potokiem.
Dziewczę na mokrą podłogę staje,
Bieży do okna... gdzie rzuci okiem,
Nie widzi brzegu; krzewy i gaje
Powystawiały czupryny z wody;
Gdzieniegdzie kępa wystaje sucha,
A gdzie był płotek, sady, ogrody,
Woda mętnemi falami bucha.

Groza powodzi, jak piorun z nieba,
W lud nadwiślański uderza trwogą,
Choć umkną z życiem, lecz kęsa chleba,
Co leży w ziemi, zabrać nie mogą.

4

Tak przeszedł dzionek w ciągłej obawie,
Słońca ostatnie ginęły zorze,
A blady księżyc w toń patrzał prawie,
Kąpiąc swe lica w Wisły jeziorze.
Bo ciągle wzrastał żywioł zawzięty,
I lud z izdebek na dach wypędza;
Okrzyk tysiąca mknie na odmęty,
W echo się mięsza i wtórzy: »nędza«.
Na podmulonej chacie, pod strzechą,
Ulina z ojcem, z okien dymnika,
»Pomocy!« krzyczą w przestrzeń daleką;
Głos biegnie z falą i w szumie znika.
Wtem niespodzianie ujrzeli z dala
Jak małe czółno, niby łupina,
Wprost ku nim szybko unosi fala,
A w niem Oryla postać jak trzcina
Giętko i zwinnie zamachem wiosła
Muska powierzchnię wody jak ptaszę,
A toń czółenko tak szybko niosła.
Już pod nieszczęsnych stanął poddaszem —
Ojca Uliny obok posadził, —
Odpłynął — przewiózł, na brzeg wysadził.

Jeszcze Ulina z śmiertelną trwogą
Została sama, niby ofiara.
Nieustraszony falistą drogą
Nawraca czółno, bo dążeń czara

Pędzi go naprzód...
Jak błyskawica
Mija odmęty, tamy i wiry,
Tak go Uliny widok podsyca,
A w myśli krążą dzikie jaskiry,
Co mu przewodzą w szalonym czynie.
Pewnie on jeden wśród całej rzeszy,
Iż choć raz będzie sam przy Ulinie,
Z wylewu Wisły nader się cieszy.
Mimo iż nocna wzmaga się burza,
Prąd go unosi bliżej a bliżej,
Z wody się rąbek strzechy wynurza,
A mętne fale wznoszą się wyżej,
Gdzie biedne dziewczę o komin wsparte.
Napół nieżywa, od zimna drżąca,
Oczy i usta jeszcze otwarte,
Lecz głos zamarły; już krew gorąca
Poczęła stygnąć, gdyż nie wiedziała,
Nim z odrętwienia wróciły zmysły,
Jak się w Oryla czółno dostała.
Widzi, jak chatę uniósł prąd Wisły,
A w cieniu nocy szczątek kontury
Widniały straszno, niby szkielety,
I wznosząc oczy w chmurne lazury,
Woła z rozpaczą: »Tatulu«, gdzie ty!?
Lecz w odpowiedzi Oryl swą dłonią

4*

Ujął i wzrokiem strwożoną mierzy,
I do swej skroni przytulił skronią
Dziewczę, co wianek trzymało świeży.
Ale Ulina, jak lew zraniony,
Nie zważa, iż się czółno kołycha,
»Tatulu«! krzyczy, i wraz ramiony
Swemi Oryla dzikość odpycha.
A w szamotaniu, gdy od całunku
Broni swe usta dziewica blada,
Rzuca się... błaga... i w tym ratunku
Wiosło z Oryla ręki wypada...
I już bez steru sami zostali,
Na pastwę losu, burzy i fali...

Wicher czółenkiem rzuca jak pianą,
Śmierć im niechybna w oczy zagląda.
Oryl nie zważa, lecz z ukochaną
Uścisku chociaż w śmierci pożąda.
Wtem wir, co młynkiem w bezdennej toni
Kręcąc się z szumem w odmęty sine,
Prądem niesione niby w pogoni,
Połknął Oryla, czółno, Ulinę.
Po chwili wody spienione kłęby
Puste czółenko wydały z łona,
Które pędzone tłukło o zręby.
W nurtach pozostał on sam i ona. —

Gdy Wisła zbiegła w brzegi zielone,
Ujrzano w pośród sitowia i trzciny
Dwa ciała młodych śmiercią uśpione,
Przy nich rozpaczał ojciec Uliny
Jeszcze wianuszek jakoby święty
Trzymało dziewczę świeży, nietknięty.

MYŚLI.

URYWEK.

Śpiew to życie, tchnieniem ton,
Dźwiękiem serca mówi dzwon.

MUZYKA.

Czem jest Muzyka? Ułudnym duchem.
Ją zaś podziwiać śmiesz tylko słuchem,
Ni dojrzysz okiem, ni ręką schwycisz,
Słuch twój jej dźwiękiem tylko nasycisz.

KOBIETA.

Najwspanialszym Boga tworem
Jest Kobieta w pierwszym rzędzie,
Arcydziełem, piękna wzorem,
Boskiej twórczości narzędzie.

ALFABET.

Choć dwadzieścia ośm liter w alfabecie,
To słów miliardy z nich klei się przecie.

SONETY.

I.

Zapomnieć własne imię, jak w wymowie dźwięczy,
Nazywać noc porankiem, a poranek nocą,
Zapomnieć barwę kwiatów, co murawę złocą,
Zapomnieć postać łuku siedmiobarwnej tęczy. —

Wszystko mogę zapomnieć, prócz Twego imienia,
Które w sercu wyryte jak wieczne granity,
Gdzie napis trwały, dokąd nie runą ich szczyty,
Z życiem tylko oddając tych szczątek wspomnienia. —

Ale czy z Twego serca to, co w niem goreje,
Lada wietrzyk nie zdmuchnie i pamięć, spłoszona,
Z najgłębszego zakątka wspomnień nie rozwieje?
Zapomnisz mnie wśród szczęścia, aż dusza, stęskniona,
Żądzą przeszłych widziadeł serce rozgoreje,
Pamięć wróci... lecz próżno zapuka do łona.

II.

Fantastyczne zjawisko! Ty senne złudzenie,
Co odsłaniasz kotary, abym wzrokiem mierzył
Światy dotąd nieznane, że istnieją, wierzył,
I cenił chwile szczęścia, gdy wraca wspomnienie.

Niezatarte w mej myśli błąkają się cienie;
Jam Cię poznał w tym świecie, Twój wzrok mnie
[uderzył
Jak iskrą magnetyczną, — prąd z prądem się zderzył,
I utkwił w moim wzroku ócz twoich promienie.

Podziwiałem bogactwa wdzięków i zachwytu,
Ton melodyjnej mowy z uśmiechu wyrazem,
Powab, który kobietę wznosi do zenitu,
Jam to w Pani ubóstwiał czarownym obrazem,
I jak fata morgana, gdy znikło z błękitu,
Utrwalam w mej pamięci pomnikowym głazem.

III.

Któraż z kobiet pięknością poszłaby w zawody
Z kształtami Twej postaci klasycznego tworu?
Gdzie szukać Tobie równej z pośród piękna wzoru?
Czy ci Wenus oddała całość swej urody?

Oko błyska szafirem na lśniącym krysztale,
Które z czoła ocienia włos jedwabno płowy,
Spływając w bujnych zwojach na pierś z tyłu głowy,
A sploty po ramionach roztaczają fale.

Tyś mi czarem Twych wdzięków odebrała zmysły,
Gdym drżącemi rękoma dotknął Twojej dłoni
I na łabędziej szyi bezwładnie zawisły,
Ty główkę chyląc ku mnie, skronią na mej skroni,
I nagle dwa całunki z dwóch jagód wytrysły,
Jak perły, wyrzucone z łona morskiej toni.

IV.

Lirą dźwięcznych melodyi, gdy struny poruszą,
Echem drgających tonów, które życiem włada,
Jest serce, co w piersiach cicho się spowiada,
Myśl naszą odczuwa i rozmawia z duszą.

Uderzam w struny lutni, tony o mej sile
Pamięcią przywołuję i wskrzeszam do życia, —
Drogie dla mnie imiona dobywam z ukrycia,
By w zadumie przypomnieć i potęsknić chwilę.

Potęsknić za tą gwiazdką, na której Ty szczycie,
Po mlecznej niebios drodze rozsiewasz promienie,
I, szybując nad poziom duszą po błękicie,
Gdzie powiew w swych objęciach unosi westchnienie,
Chociaż zmienny tok życia, jak świateł odbicie,
Szacunku Twej pamięci nie pokryją cienie.

V.

Maryo! jam się ważył spojrzeć w Twe źrenice,
Jam się ważył zakochać, i miłości żądam,
Ja w Twą duszę, jak w obraz święcony spoglądam.
Olśniewają mnie czarem ócz Twych błyskawice.

Maryo! jam pyłem pod Twojemi stopy,
Niebaczny, sięgam sercem do Twojego serca,
Przebacz, gdy wyraz »Kocham« wypowie bluźnierca,
I buja, gdzie zamknięte przed nim niebios stropy,

Bóstwem, na kształt kwitnącej jerychońskiej róży,
Hasłem życia i myśli dla mnie Bóg Cię zsyła,
Ciebie widzieć wciąż pragnę jak słońce wśród burzy,
Bo mnie miłość ku Tobie tak opromieniła,
Że albo z życiem zgaśnie, gdy los sprzecznie wróży,
Ale przestać Cię kochać... jakaż wzbroni siła?...

VI.

Wyrzec się Twej miłości ubóstwiane dziecię,
Znaczyłoby tosamo, co wyrzec się wiary,
Wyrzec Boga i nieba, a uwierzyć w czary,
Lub w pustyniach bezludnych marne pędzić życie.

Ty mi gwiazdą przewodnią na niebios błękicie,
Wraz z Tobą ukochałem wszystko, co ci lube,
Pogardzam, czem Ty gardzisz, skazuję na zgubę
Nawet siebie, lecz serca któż powstrzyma bicie?

Jedno Twoje spojrzenie z błękitnego oka
Może zabić jak piorun, lub wskrzesić, i siłą
Wdzięków do życia wzbudzić, niby głos proroka,
Zwiastujący raj ziemski z piękną, lubą, miłą,
I jak anioł, dzieweczką...
O myśli głęboka,
Ni wydrzeć cię, ni ująć, ni przykryć mogiłą...

VII.

I TO MA BYĆ ONA?...

Ty się bawisz, porwana skocznych tanów wirem,
Rozpływasz się w rozkoszy i lubujesz w tonach
I — co chwila na innych oparta ramionach,
Otoczona hołdami i ogólnym mirem —
Niepomnisz, że ja tęsknię. Jakby czarnym kirem
Całe niebo zakryto, ziemia dla mnie cmentarz...
Tak mi smutno bez ciebie... A ty, czy pamiętasz
Słowa naszych przyrzeczeń, co błysły jaskirem,
Że memi cierpieniami, zarówno jak balem,
Bawisz się, upojona, bezemnie, wśród grona?
Ty tego nie pamiętasz!?... A ja z takim żalem
I tęsknotą ku Tobie wyciągam ramiona.... —
Lecz widzę, że na ustach Twych, co lśnią koralem,
Igra uśmiech nie dla mnie...
I to ma być ona?!...

VIII.

CIENIOM
Św. p. JÓZEFA RYCHTERA,
ARTYSTY DRAMATYCZNEGO.

Żegnaj, stary Cześniku, weteranie sztuki,
Niezwalczony szermierzu na scenicznem polu,
Gdzie trudno znaleźć różę, a lasy kąkolu
Tamują przejście wolne do wzniosłej nauki.

Bożą iskrą talentu Tyś zgadywać umiał
Bohaterów przeszłości, ich sławę, potęgę,
Jak nosili kontusze, habit lub siermięgę,
Tyś siłą poezyi wskrzeszał, i rozumiał.

O cześć Ci, Wicie Stwoszu! Kordecki! Cześniku!
I wam wszystkie postaci.
Jak słup promienisty
Błyszczycie, niby ryte napisy w pomniku.
Choć działalność u szczytu przerwał sen wieczysty,
Lecz dzieje polskiej sceny w jaskrawym promyku
Na długo olśnią imię Polskiego Artysty.

IX.

WSCHÓD SŁOŃCA.

Cudny! godzien podziwu dzionek w nocy splotach,
Kiedy ze snu powstają na włoskim lazurze
Pierwsze słońca promienie i pną się ku górze
Wzniosłej Monte Cheghelo, tuląc ją w pieszczotach.

Z góry się wynurzają, jakby tkwiły w łonie,
Miliardy promieni, w krąg zbite, jak wieniec,
A wierzchołek różowy oblewa rumieniec,
Zanim słońce z tryumfem na szczycie zapłonie.

Cudny! boski to urok! promieni kaskada
Mknie po szczytach górzystych, nim się na dół stoczy,
Jak się barwi... i jasność w promienie rozpada...
Takiego wschodu słońca nie zapomną oczy.
I pytam w upojeniu, gdy myśl w głąb zanurzę:
Komu pierwej hołd oddać: Bogu, czy naturze? —

X.

DO MOJEJ NAJUKOCHAŃSZEJ MATKI.

Matko moja! Twe imię tak wielkie i święte,
Że, jak przed wiekuistą świątyni budową,
Z uwielbieniem wygłaszam, z pochyloną głową
Imię pierwsze po Bogu, bo z Boga poczęte.

Matko! — w tem wyrażeniu świat uczuć się mieści,
Nieskończoność wdzięczności niczem nie spłacona, —
Tyś pierwsza, gdym świat ujrzał, tuląc mnie do łona,
Uśmiechała się do mnie wśród jęków boleści.

Ja Cię widzę mą duszą, myślą, serca wzrokiem.
Syn, miast stróża anioła, wzywa Cię w potrzebie.
Słyszę głos macierzyński, choć w świecie szerokim,
Co mnie uczył pacierza o »powszednim chlebie«.
Dziś Twe stopy całuję z uczuciem głębokiem,
A modląc się do Boga, modlę i do Ciebie!

XI.

MÓJ KRAKÓW.

Kolebko ma rodzinna, grodzie pełen chwały!
Gdzie około Wawelu szemrzą Wisły fale,
Gdzie groby królów moich, i zamkowe sale, —
Ty jak Rzym i Ateny, w Tobie świat mój cały.

Tyś moim, choćby burze miotały nad krajem,
Jam cząstką twojej ziemi, pyłem twojej pleśni,
Jam echem twoich cierpień, i pieśnią twej pieśni,
Tu życie niebem tchnące, tu grób będzie rajem.

O dumo mej Ojczyzny, ty ziemio krakowska,
Stolico dzielnych Piastów, Jagiellonów mężnych,
Tyś moją, jak na niebie Matka Częstochowska.
A gdy na sąd świat runie w posadach potężnych,
Ty, Boże, stary Kraków przenieś w niebo cudem,
Niech i tam dzwoni Zygmunt między polskim ludem.

5

XII.

W katedralnej świątyni, gdzie dach złotem błyska,
Poświęcano kaplicy Zygmuntowskiej mury,
Która, jakoby w nowe odziana purpury,
Trzechwiekową potęgą i pięknością tryska.

Ludy biegną podziwiać i z dala i z bliska
Tę chwilę uroczystą, ponad którą z góry
Zajaśniało już słońce w tęczowe lazury,
Łamiąc się po kolumnach, i w ołtarz się wciska.

I przy dzwonów harmonii biegły modły święte.
Wnętrze starej kaplicy wszystkich pomieściło,
Wszystkie miejsca panami i księżmi zajęte;
Jedno tylko siedzenie pustkami świeciło...
Na ławie marmurowej zimne i nietknięte
Błyszczą godła królewskie... lecz króla nie było...

XIII.

ŻELAZNY SONET.

Henrykowi Sienkiewiczowi.

Chwała spada na Polskę z Twoich dzieł rozgłosu —
A dla cechów wytwórczych z żelaza i stali
Wspomnienie: kiedy nasi zbroje wyrabiali,
Co królów i rycerzy chroniły od ciosu,
A rumaki w stal kute niosły ich po sławę. —

Dziś, Ty już nie pancernych zwalczył bojowisko,
Ale pracą zdobyłeś szczytne stanowisko,
Za którą Ci pierwszeństwa wręczono buławę.

Nie zgaśnie duch narodu! Dzieł rycerskich tomy
W umysłach rozbujałe, jak orzeł skrzydlaty,
A gdy przyjdzie najezdzców wyprzeć za wyłomy...
My w swych kuźniach wykujem Chrobry miecz [szczerbaty,
I zwycięży tym szczerbcem uzbrojone ramię,
Gdy się w stali wyryje Matki Boskiej znamię.

OBRAZ CYWILIZACYI.

. . . .

Wre bój straszny, zajadły, wśród prochu kurzawy,
Naród, przeciw narodu wzajem rozjuszony,
Zadaje krwawe ciosy, a jęki i wrzawy
Głuszą huki armatnie złowrogimi tony.
Trąb i bębnów odgłosy, tu komenda głucha,
Leżą we krwi kałuży stosy jeźdzców, koni,
A granat za granatem z armaty wybucha;
Wojsko pada jak snopy, stal o stal zadzwoni —
Ranni krzyczą pomocy, inny »dobij« woła,
Tętnią działa, furgonów jako błyskawica
Po poległych i rannych przebiegają koła,
I ostremi podkowy rozmiażdża konnica.
Rozpaczliwy jęk ludzi, odblask krwawej łuny,
Bombardują i palą, grad kul tam wytryska,
To nad miastem i ludźmi śmiertelne całuny —
Oto siła nad prawem swe piętno wyciska...

. . . .

Syci zdobyczy, mienia — zwycięzcy wracają
Po laury za swe dzieła na pobojowisku, —
A broniący praw swoich wśród jęków konają:
Człek pod koniem, wróg z wrogiem w śmiertelnym
[uścisku.

. . . .

Szkoda było tych mężów, ojców, synów, braci,
Szkoda kłosów na polach, tak blizkich rozkwicia,
Szkoda było tych koni, co je pług utraci,
Szkoda... że wojna niszczy, a nie daje życia. —
Żądzy stało się zadość i ptactwo złowieszcze
Musi także poległym wyprawić krakanie,
Nim się ciało w proch zetrze; — lecz zostanie jeszcze
Wielki Bogu rachunek i wielkie pytanie:
Czemu wiek dziewiętnasty jest jak wiekiem baśni,
Jak dawniej przesycony rozkładu wyziewem,
Że ogień i pożoga kładzie koniec waśni,
A zgodę trza okupić ludzkiej krwi rozlewem?...

O cywilizacyo! wśród huku i szumu
Jesteś jeszcze macochą a nie macierzyństwem,
Nie umiesz godzić ludzi potęgą rozumu,
Ty nie wiekiem postępu! tylko barbarzyństwem! —

NASZE HASŁO.

Z Bogiem i krzyżem ognistym na skroni
Ty, polski ludu, do zwycięstwa spiesz,
Ojczysty sztandar w czarnej dzierżąc dłoni,
Z Ojczyzny godłem ty na czele bież,
Światła rozumy nieś w bratnie tłumy,
Praw swoich pilnuj i strzeż!

Ojczyzno nasza! Tyś arki odmiana,
Co się unosisz wśród potoku fal,
A chociaż pianą odmętów bryzgana,
Jednak w promiennem słońcu płyniesz w dal,
I w sile męstwa, z palmą zwycięstwa,
Niezłomna duchem jak stal!

Biada potwarcom, co dla zysków własnych
Do bratniej walki lud prowadzą w toń,
Bo gdy lud przejrzy, dojdzie do prawd jasnych,
Na burzycieli pochwyci za broń,
I w dzień zapłaty policzy straty,
Co niecna wzięła mu dłoń!

Stańmy do walki, lecz nie na oręże,
Bo krwi rozlewu nasz nie pragnie Bóg:
Pracą i sercem walczą nasi męże.
Rozboju chciwy uledz musi wróg!
W swe własne sidła, szatańskie skrzydła
Splącze i... padnie do nóg!

Hej! przyjaciele! Komu w żyłach płonie
Chrobrych, Sobieskich i Kościuszki krew,
Kto wielkość przodków ukochał w swem łonie,
Bogarodzicy komu drogi śpiew,
Tego judaszy bój nie przestraszy,
Wrzask renegatów ni gniew!

Bratnim szeregom błogosław, o Panie!
Na martwej glebie zasiej zgody kwiat,
Upadłym duchom daj opamiętanie
I w przyjaciela niech się zmieni kat!
Choć ciemnych siła na krzyż Cię wbiła,
Tyś zbawił ludy i świat!

NIEŚMIERTELNEJ PAMIĘCI

WIESZCZA ADAMA

z okazyi sprowadzenia zwłok
dnia 4 lipca 1890 r.

Zadzwoń nam, zadzwoń Zygmuncie stary
Z wieży Wawelu, gdzie królów grób,
Z twymi tonami modłów ofiary
Niech płyną w niebo do bożych stóp.

Przy twym odgłosie, dzwonów olbrzymie,
Wieszcza narodu dziś wita gród,
W ust milijonie brzmi Jego imię,
Swym milijonem zwie Go dziś lud.

Ten, co w swej duszy, wieszczo natchnionej,
Czuł, jak Ojczyznę czcić mimo burz,
Umarł wygnańcem i utraconej
Litwy ni Polski nie ujrzał już!...

Dziś z Gallów ziemi drogą tą łzawą
Prochy Twe wnosim w głębokiej czci,

By pod krakowskiej świątyni nawą
Spoczęły błogo do sądnych dni...

Koronę sławy: laury i wieńce
Dają Ci ludy jak jeden snop,
Złączeni duchem starcy, młodzieńce,
Żebrak, uczony, magnat i chłop.

Ponad orszakiem w ludów natłoku
Duchy z fantazyi z nad słońc i gwiazd
Spieszą go witać, z wyżyn obłoku
Ich tryumfalny zbliża się wjazd.

Oto widzimy nad trumny kirem:
Jak eter, w lekkiej odziana mgle,
Postać Adama, niby jaskirem,
Na lazurowem zabłysła tle.

Aureolę tworzą mu kręgi,
Z mnóstwa postaci spleciony zwój,
Barwny i wiotki, jak dziewcząt wstęgi,
Okala wieszcza ten cudny rój!

Wszystko nad głową mistrza się wznosi:
Oto Gustawa zbolały duch,
Tadeusz obok uroczej Zosi,
Nad nią gołąbki białe, jak puch.

Dalej ksiądz Robak, Wojski, Soplica,
Klucznik i Woźny, sługusy dwa —
Tu Telimena barwi swe lica,
Jankiel pod pachą cymbałki ma. —

Jak brzegi Wisły wśród woni kwiatów,
Tam ojca Marka miecz dzierży dłoń,
Ciągną szeregi Konfederatów,
Dzwoni tam szabla i parska koń...

Za nimi, strojny w mak i rumianek,
W szaty z sitowia i polnych róż,
Pląsa i wabi rój Świtezianek
Dziewic jeziora, bagien i mórz.

Dalej Walenrod, Grażyna w zbroi,
Słychać więzionej Aldony śpiew,
Tam dziewczę główkę w liliję stroi,
I szum dobiega litewskich drzew.

Pośród tej rzeszy i pośród kiru
Różnego stanu wieku i płci
Kroczą więźniowie z kopalń Sybiru,
Łańcuch kajdanów u nóg ich lśni.

Konrad na czele! Rolison mały,
Setki zakłutych matek i cór,

Na krwawej łunie; pochód ten cały
Otacza wieńcem Cherubów chór.

Dalej gęślarze. — Ach! któż policzy,
Czy na to starczy sokoli wzrok,
Ile tam ofiar krwawej zdobyczy,
Które dziś zakrył niewoli zmrok?

Ach! Jeszcze jedno zjawisko, Boże!
Tuż obok Wieszcza stąpa jak śnieg
Dziewica biała, jasna jak zorze,
Drogi do nieba wskazując bieg.

Któż to? To Polska! — Obraz Marylli
Roztacza wdzięki, urok i czar,
Których nie stłumi prawnuk Atylli,
Bo niewygasły tkwi w piersiach żar.

Polska — Marylla — była mu słońcem
Jednego światła w promieniach stu,
O niej to pamięć przed świata końcem
Nie zginie, chyba nam zbraknie tchu.

To też i Polska — Marylla owa —
Sercem i duszą przylgnęła doń,
A naród miłość im w sercu chowa
I nieśmiertelną uwieńczy skroń... —

Widzenie znika, wyżej ulata,
Już bohaterzy wiary i cnót
Tam do lepszego wznoszą się świata,
Snać już do niebios kołacą wrót.

Znikło widzenie... lecz nie z pamięci,
Choć trumnę Wieszcza pokrywa głaz,
Spoczął, gdzie króle, wodze i święci,
Nim zmartwychwstania nadejdzie czas.
I z działów naszej biednej Ojczyzny,
Jak z trzech Chrystusa przeświętych ran,
W jedno znów ciało zmienią się blizny
I jeden Polską zawładnie stan! —

ADAMOWI MICKIEWICZOWI

w setną rocznicę urodzin (1798—1898).

Wieszczu Adamie! Ty jesteś jak zdrowie,
Ileś nam drogi, ten tylko się dowie,
Kto Cię zrozumiał. Tyś Ojczyzny tchnieniem,
Siłą narodu, sercem i sumieniem.
Tobie pochwały, Wieszczu, niepotrzebne,
Bo ludzka mowa, ni hymny podniebne
Nie zdolne zwiększyć ni pojąć ogromu
Twej wiecznej sławy.
Duch Twój w naszym domu
Nie pochwał szuka, lecz czy słowa w czyny
My zamienili? Czy wybrniem z ruiny?!
Tyś pragnął, Mistrzu, dożyć tej pociechy,
By Twoje księgi zbłądziły pod strzechy,
By je lud pracy z upragnieniem chwytał,
Jak kochać Polskę, w tych księgach wyczytał.
O, bo te księgi nauczyć nas mogą,
Do zmartwychwstania jaką kroczyć drogą.

O, bo Twe pisma, to biblijna księga
Pielgrzymstwa ludu, a w słowach potęga.
W tych pismach balsam, światło wśród pomroku,
Jako krew w żyłach, jak źrenica w oku,
Jak przykazanie, wdzięczne psalmów pienia,
Święte, bo wieszcze z Bożego natchnienia.
Im prędzej Twoje wykonamy słowa,
Bliższą Ojczyzny i Tronu budowa.

Już wiek upływa, jak dwie ważne chwile
Zbiegły się razem: gdy Polska w swej sile
Jak kolos padła, kiedy król w niewoli
Konał nad Newą... — w tej nieszczęsnej doli
Zsyła Bóg Wieszcza w wieczór Chrystusowy,
Który nam wskazał kierunku bieg nowy.
Tym wieszczem Adam. On nam drogowskazem,
Jak zbawić Polskę, błąd naprawić razem.
Adam jak ojciec, co nad nami świeci,
Woła: »Oczyścić dom, oczyścić, dzieci«!
A naszym domem, to Polski obszary,
Której Bóg jeden naznaczył rozmiary,
Na ziemskim globie Swą ręką zatoczył
I rzekł: »To wasze«!
Dziś, gdy obcy wkroczył,
Zjednoczmy siły, by »w częściach« nie runąć,
Wyższością pracy najeźdzców usunąć.

Wszak po zachodzie wschodzić musi słońce!
Może dziś chłopię w kołysce drzemiące
Ciąg dalszy proroctw Adama odsłoni...,
Zygmunt z Wawelu da hasło: »do broni!«

A któż zaprzeczy, czy dziś w matki łonie
Nie tkwi bohater, co na polskim tronie
Koroną Piastów ozdobi swe skronie?!... —
Wszystko możliwe.
Jedna wichru fala
Najpotężniejszych mocarzy obala,
W pył zetrze dumnych, rozwieje kurzawą,
Wrzuci w otchłanie i nakryje lawą, —
Zbrodnia podziału gdy ulegnie zmianie,
Polska poddana, władczynią powstanie!
Wtedy dowiedziem, Mistrzu, coś nam wskazał:
. . . .
Lud, wierny temu, pracą winy... zmazał...

DWUDZIESTY WIEK.

Północ — to przełom! Wieków pocałunki
Dwanaście razy oddają wieżyce,
Niezwykła zmiana: w nowe posterunki
Nowe stulecie zaciąga strażnice.

Zegary dźwięczą, a w kościół zamkowy,
Gdzie serce Polski przytłumione bije,
Kroczył ku grobom staruszek wiekowy.
Siwą mu głowę rogatywka kryje,
Na grzbiecie szary kontusz z wylotami,
Któremi wicher podrzucał jak grzywą.
Szedł wolnym krokiem, wzrok mu nabiegł łzami
I karabelą podpierał się krzywą,
A w piersiach jego, ach, zmiłuj się, Panie,
Sto ran bolesnych, bo rana przy ranie, —
Co rok mu jedna przybywała świeża,
Jak różańcowa gałka do pacierza.

A w sercu jego utkwione trzy miecze,
Rękojeść zdobna w ruble i talary,
Po nich niewinna, nieskrzepła krew ciecze,
To krew, za którą zapłacili cary.
Lecz mimo wieku, mimo krwi ubytku,
Wiary ni siły przemoc nie odjęła,
Bo z krzyżem w ręku do Boga przybytku
Idąc, powtarzał: »Jeszcze nie zginęła!«
I tak ukląknął przed katedry nawą
I łzę uronił ostatnią — lecz krwawą,
Bo dzwonów dźwięki te same w świat biegły,
Gdy kraj był wolny! wielki! niepodległy!...
A w tem z potężnem serca uderzeniem,
Co pierś Zygmunta odbija ze drżeniem,
Z wieży zamkowej z ostatniego tonu
Młodzian skrzydlaty wyłonił się z dzwonu!
Biały jak anioł, różczkę w ręku tuli,
Stanął przed starcem u stopni kościoła
I ledwie stopą dotknął ziemskiej kuli,
Wraz mu gwiazdeczki zabłysły u czoła,
Lecz skrzydła białe lotem rozwinięte
Już miał żałobne i krepą opięte! —
Spojrzał na starca, na swój obraz przyszły,
Na drogę, cierniem majone kobierce...
Zadrżał, i z oczu łzy dziewicze trysły...
A starzec ręką dotknął spadkobiercę

I złożył przed nim krzyż i mieczów troje
I wszystkie rany, z wojen upominki,
O niepodległość rozpoczęte boje
I karabelę sławną z pod Olszynki. —
Potem z ostatniem uderzeniem dzwonu,
Rozwiał się w echo... — Oto koniec skonu. —

Ocknął się młodzian, spojrzał okiem ducha,
Zmierzył te więzy, lecz i siły zmierzył,
I żądzą walki jak wulkan wybucha —
Skrzydłami silnie w powietrze uderzył,
A srebrne tony, jak harfa eolska,
Biegną po świecie w najskrytsze otchłanie,
W akord się łączy uwięziona Polska
I chórem woła: daj nam Zmartwychwstanie!

Wszak to tysiączny rok w twojem stuleciu,
Kiedy Bóg polskie ustanowił państwo,
Kiedy Mieczysław przyjął Chrześcijaństwo,
Co dziś w tak bujnem rozwija się kwieciu!
I taki naród dzielny, bitny, dumny,
Co dziesięć wieków swego życia liczy,
Odbije wieko od niezwartej trumny
I w gruzy wasze rozbije kolumny,
Nie w chęci zysku ani dla zdobyczy,
Tylko się z krzywdą upadku policzy!

Takie nam echo pan stulecia głosi
I świeżą różczkę wolności przynosi.
Narodzie Piasta! wraz z dziesiątym wiekiem
Przejdziesz do zwycięstw, ale przez tortury,
Miną krwi czasy, a popłyną mlekiem,
Tak nam dopomóż, Matko z Jasnej góry!
Święta Królowo ponad wszystkie króle,
Ty nas wysłuchaj, ukróć męki, bóle...

ALMA MATER

1400—1900.

Krakowskich wieżyc we mgle toną cienie,
A słońca blaski, przemknąwszy błękity,
Obfitym snopem kierują promienie
Na Alma Mater...,

w te gotyckie szczyty,
Gdzie Jagiellońskiej świątyni Wszechnica,
Matka mądrości niespożytej sławy.
Na całą Polskę Jej promienne lica
Świecą na okół, bo tej wiedzy nawy,

Jako latarnia pośród oceanu,
Roztacza świateł niezliczone kręgi,
Choć ryczą burze z siłą huraganu,
Nic światłodajnej nie zgasi potęgi.

I nigdy jasność tej wiedzy nie skona,
I zawsze będzie chlubą dla narodu —

Co Bóg zapalił ręką Jagiellona,
Sławą zostanie krakowskiego grodu.

To Alma Mater! Hołdami owiana,
Dla niej to dźwięczą kołysane dzwony,
Najwięksi mędrcy zginają kolana,
Wraz z prostym ludem oddają pokłony
Królewskiej Trójcy...

Z rozumem głębokim
Byli ci króle. Kazimierz z Jagiełłą,
Wśród nich Jadwiga ze świętej urokiem,
Największe Polsce zostawili dzieło.

Lat pół tysiąca, pokoleń tysiące
Z skarbnicy wiedzy hojną czerpie dłonią,
Niewyczerpanie, jak to Boże słońce,
Ożywia ludzi...

Tą rozumu bronią
Doszli do sławy pracą i trudami
Męże nauki i słynni cudami,
Jako Jan Kanty w Zakonnika szacie,
Z całem natchnieniem świętem Teologa,
Z tej to katedry w pełnym majestacie
Porywał mową słuchaczy do Boga.

Bo Alma Mater Wszechnauk korona,
Kolebka badań tajemnic szeregu,
Samego Stwórcy dłonią poruszona,
I nic jej więcej nie powstrzyma w biegu,
Lecz coraz szersze zatacza półkole,
Ze zniczem w łonie a gwiazdą na czole.

Szczytem powagi gmachu tego, mury;
Kiedy nań spojrzeć w podniosłem skupieniu,
Widzisz tam piękno sztuki i natury
W tak poezyjne przybrane kontury
W każdym załamie, w każdym światłocieniu,
Że tylko w niemem podziwiać milczeniu.

Cudny dziedziniec, czworobokiem zwarty,
W okół gotyckim opasany gankiem,
Który, na pięknych kolumnach oparty,
Objął tę przestrzeń skamieniałym wiankiem,
I w ostrołuki sklepione arkady,
Te odrzwia, schody i okien fasady...
Tam to odczujesz błogi nastrój ciszy,
Tylko się odgłos własnych kroków słyszy
Z uczuciem lęku...

...i, patrząc w podwoje,
Myślisz, że zmarłych wielkich mężów cienie
Różnych stuleci gromadzą się roje, —

Że zapełniają sale, ganki, sienie
Ci Rektorowie i Profesorowie
W togach, z berłami, w biretach na głowie, —
Wśród nich Kopernik nad ziemi obrotem
Duma i słońca oblicza, — a potem
I dźwięk ich mowy posłyszysz daleki,
Językiem zmarłych, łaciny i greki, —
Myślisz... że w bramie Jan Kanty z swej celi
Wszedł do kapliczki pokłon oddać Bogu.
Ten cichy mędrzec, cały odzian w bieli,
Jakby powitać chciał wszystkich u progu,
W dzień uroczysty z każdym się weselić,
Należne Polsce hołdy wraz z nią dzielić. —
Tem uwielbieniem przenika człowieka
Uniwersytet, dziś Biblioteka. —
Wzniosła to przeszłość. — Ten naród ze stali
Wielkimi czyny pisał świata dzieje.
Narodu Polski Golgota nie zwali,
Bo przeszedł takie męczeństwa koleje,
Że Polskę zowią na krzyżu rozpiętą,
Ziemią uczonych, rycerstwa i świętą!

Gdyby się Bogu podobało jeszcze
Cierpieć Nerona jako władcę Romy,
By dotąd palił pochodnie złowieszcze,
A miast kościołów stały hipodromy,

Tuby założył stolicę Piotrową,
Ten stary Kraków byłby Watykanem,
Wszechprawomocną, uświęconą głową,
A dla tyranów — zagłady kurhanem.

MADONNA.

LEGENDA.

I.

Biada, gdy bogacz, straciwszy mienie,
Spotka się z nędzy upiorem...
Choć dobroczynne żywił sumienie
I uczynności był wzorem,
Choć dla każdego miał złota wory,
Gdy jednak wszystko utraci,
Nikt do pomocy nie jest mu skory,
Niema przyjaciół, ni braci.
Z utratą mienia przyjaźń zanika,
I wszędzie obca już droga,
Nikt go nie pozna, każdy unika,
I wszystko wrogie, prócz — Boga.

Pomiędzy ludem prawda to znana:
»Za chleb nie rzucą ci chlebem«...

Ta zaś opowieść, cudem związana,
Pod włoskiem działa się niebem.

Adryatyku perłą się zowie
To miasto, — czarem podniosłe,
Że je wśród syren wznieśli bogowie
I z głębin morza wyrosłe.
Tam to żył kupiec, Fabijo młody,
Miał własny pałac, okręty,
Chętny do pracy, pełen urody,
Sercem dla wszystkich przejęty.
Czy na kościoły, czy to na szkoły,
Był szczodry, hojny od dziecka,
Lubiany wszędzie, w życiu wesoły,
Znała go ludność wenecka. —
Naraz przez wojnę swoje okręty,
Towaru pełne, utraci:
Jedne na morskie poszły odmęty,
Drugie złupili piraci.
Wszystko zgubione, prócz silnej wiary:
Na wdzięczność bliźnich swych liczy,
On wielkie ludziom czynił ofiary,
W biedzie mu każdy pożyczy.
Wszak na uczciwość dadzą mu swoi
Pięćset dukatów na słowo,
A on w obrocie pieniądz potroi,
Gdy zacznie handel na nowo.

Ale się zawiódł. Daremnie szukał,
Fatum zawisło przeklęte,
Do swych przyjaciół, bankierów, pukał...,
Do wszystkich drogi zamknięte.
Jednak nie zwątpił, choć rozpacz miota,
Bo dostrzegł promyk w tej czerni:
Gdy mu współwierni nie dali złota,
Może mu dadzą niewierni.
Puszcza gondolę w zwinnych obrotach,
Płynie, nadzieją płomienny, —
Stanął przed domem, który na wrotach
Miał świecznik siedmioramienny.
Wrota zaskrzypły, Fabijo wkroczył
Do zaciemnionej komnaty,
Eleazara przy lampie zoczył.
Żyd to był stary, bogaty,
Znany oddawna weneckiej młodzi,
Z mądrością bystrą, przezorny,
Wiedział, że każdy, kto doń przychodzi
Z prośbą o pieniądz, — pokorny. —
— »Eleazarze! — Fabijo rzecze —
Jam gardził żydów plemieniem...
Znasz mnie? — więc słuchaj i rozważ, człecze,
Co z czystem mówię sumieniem.
Nie, abym litość wzbudzał nad sobą,
Lecz przez uczciwość to wnoszę,
Byś naprzód wiedział, kto mówi z tobą,

Nim cię o łaskę poproszę«...
— »Znam cię, Fabijo — przerwał mu stary, —
Nie wszedłeś tutaj daremnie,
Zostawmy niebu sądy i swary,
Mów, czego żądasz odemnie?«
— »Pięćset dukatów bitego złota!«
— »Pięćset?! ma wielkie znaczenie,
Lecz nikt bez fantów złotem nie miota,
Co dajesz w zastaw?«...
— »Sumienie!
Eleazarze! Oprócz sumienia
Całe przepadło bogactwo,
Ni złotych fantów, ni poręczenia,
Czeka mnie chyba tułactwo.
Nieszczęście na mnie rzuciło pęta,
Lecz Bóg mi został na niebie,
I chrześcijańska ta wiara święta:
Niech za mnie ręczą w potrzebie.
To moje skarby, Eleazarze,
Jeśli potęgę ich zmierzysz,
Ja ręczycielkę tobie pokażę,
Której ty pewnie uwierzysz«.
— »Ja widzieć muszę, nie chcąc mieć straty,
Nim się umowy dobiją,
Na czyje imię mam dać dukaty...
Prowadź mnie do niej, Fabijo!«

Wsiedli w gondolę. Fabijo w biedzie —
W obu zamysłach jest sprzeczność:
Eleazara ciekawość wiedzie,
Fabija wiedzie konieczność.

II.

Gondola lekko sunie po fali,
Jak podmuch skrzydeł anioła,
Nagle u celu wiosła wstrzymali
U wrót »Dell'Orto« kościoła.
Weszli do wnętrza, wieczór zapada,
Od gwiazd zabłysły lazury,
Księżyc przez okna promienie wkrada,
Srebrząc posągów kontury. —
Fabijo wiedzie Eleazara,
Skąd wiał kadzideł dym wonny,
Gdzie wiecznej lampy płonie ofiara,
Aż do posągu Madonny.
— »Patrz! oto Pani świata, co słynie
Na ziemi, niebie i tęczy —
Za zwrot dukatów, nim rok upłynie,
Ona ci za mnie poręczy«.
Żyd Eleazar stał w osłupieniu,
Pod wyższej siły naciskiem,
Patrzał w Madonnę, która, w półcieniu,
Nadziemskiem tchnęła zjawiskiem:

Ta postać wzniosła, święta, spokojna,
Słodyczy pełna i wdzięku,
Płaszczem gwiaździstym, koroną strojna,
Z boską dzieciną na ręku,
A w drugiej berło. Stopy różane
O statek wsparła pancerny. —
Taką raz pierwszy Najświętszą Pannę
Zbliska podziwiał niewierny.
Żyd długo duma, bada i waży,
I brodę siwą wciąż gładził,
Wzrokiem, utkwionym w niebiańskiej twarzy,
Jeszcze się pytał i radził...
Wtem głową skinął, jak zapewniony, —
Nieufność pierzchła bezbronna, —
Dał więc kupcowi złota rulony,
A świadkiem była Madonna, —
I mówi: »Słuchaj, chrześcijaninie:
Na termin pomnij ty ściśle,
Jeśli nie oddasz, nim rok upłynie,
Co ja, żyd, wtenczas pomyślę?...
Co o twej sądzić mam obietnicy?
Że twoja wiara zdradziła?
Co będę sądził o Tej Dziewicy,
Która za ciebie ręczyła!?« — — —

Z tem się rozstali.

III.

Bez czasu zwłoki
Fabijo morzem już płynął,
Zakupił towar i w świat szeroki
Okrętu żagle rozwinął.
Zapał w nim wzrasta i szczęście służy,
Gdziekolwiek składy założy;
Pieniądz, zyskany z każdej podróży,
Już w dziesięcioro się mnoży.
Niestrudzonemu przyświeca zorza —
Wciąż żądny zysków i zbioru,
Skierował statki na obce morza,
Aż do cieśniny Bosforu.
Tam kilkodniowy wypadł spoczynek,
On młody, jako zarzewie,
Więc w towarzystwie pięknych Greczynek,
Przy mandolinie i śpiewie,
Wyruszył łodzią od brzegu zdala,
Rozkoszą płoną ich twarze,
Młodość w nim szumi, wino rozpala...
Wtem go napadli korsarze.
Mimo oporu, wiążą, jak zwierza...
Zbójcy swą zdobycz pojmali,
I na Egiptu wiozą wybrzeża,
Tam go w niowolę sprzedali...

IV.

Długo w niewoli jęczał ucisku,
Aż po nieszczęściach już tylu,
Raz, zapomniany na stanowisku,
Uciekł i łódką po Nilu
Na pełne morze dopłynął cało,
Lecz z wycieńczenia upada,
Łodzią wiatr miota, sił mu nie stało...
Już go bałwanów kaskada
Pochłonąć miała, — wtem niespodziany
Statek go spostrzegł wśród trwogi,
Spiesznie go z wodnej unoszą piany,
Na pokład pełen załogi. —
Nad nimi niebo, pod nimi woda,
Lecz w jakie brzegi zawiną?
Jaka ich w drodze spotka przygoda,
Czyli powrócą, czy zginą? —
Tego nie pewni. —

Pogoda zmienna:
Raz niby słonko zabłyśnie,
To znów przyrody siła tajemna
Nad morzem chmurą zawiśnie;
Płyną a płyną, a wichry żagle
Rwą i masztami kołyszą,

To w górę statkiem podrzuci nagle,
Znów w otchłań padnie...

I słyszą,
Jak statek pęka na rafy grzbiecie...
Morska przyświeca latarnia,
Ląd niedaleko, lecz burza miecie,
Strach ich śmiertelny ogarnia.
Już bez ratunku, los w ręku Boga,
Burze część statku strzaskały,
W falach się nurza cała załoga
I ludźmi rzuca o skały. —
Wreszcie ucichły gromy i burza,
Nie władnie ludzkie tam ramię, —
A u dalmackich brzegów podnóża
Leżał na masztu odłamie
Fabijo, zimny, półmartwy, blady,
Życie w gasnącej iskierce...
Widzi to dziewczę z bliskiej osady,
Niosąc mu ulgę i serce,
Rzeźwi, rozbudza, winem posila,
Wpatrzona w jego urodę,
Mówi doń czule, wargi odchyla,
Potem na barki swe młode
Bierze do swoich rodziców chaty,
Tam, gdzie w pobliżu kaplica, —

Stroi się w piękne, dalmackie szaty,
I krasą płoną jej lica.
Z nadmiaru szczęścia, bo już młodzieniec
Odzyskał zmysły i zdrowie,
Na twarz wybladłą wraca rumieniec,
Uśmiech na uśmiech odpowie,
I w czułych słowach składa podziękę,
Wielbi zdarzenie czarowne,
Do ust swych tulił Dalmatki rękę,
Gdy oczy, więcej wymowne,
Umiały serca wyrazić skłonność.

V.

Raz pierwszy wyszli oboje,
Gdzie gaj mirtowy roztacza wonność,
A chłodzą źródła i zdroje.
Usiedli w cieniu przed skwarem słońca.
Fabijo, wesół od świtu,
Nagle o datę pyta miesiąca
I miejsce swego pobytu.
Dziewczę objaśnia, on, jak wyroku,
Słuchał, a rozpacz w nim wrzała:
Boże! mój Boże! z całego roku
Tylko mi doba została!«
Nieopisaną dręczony troską,
Śmiertelny wyrzut go trawi,

Że Ręczycielkę tę, Matkę Boską,
Szyderstwu żyda zostawi.
Pieniądze na dług miał już gotowe,
Zaoszczędzone swą pracą,
I dawno złożył w banki portowe,
Które mu wszędzie wypłacą.
Lecz by w dniu jednym wichry zagnały
Kogo z dalmackich przestrzeni,
By na weneckie wpłynął kanały,
Chyba się w cudo zamieni.
Mimo to barkę na brzeg spieniony
Zaciąga, potem z kaplicy
Wyniósł cedrowy posąg rzeźbiony
Z postacią Bogarodzicy —
I tam Madonnę, jako ster święty,
Ustawił w barkę, a potem,
Ufny, że dług ten dojdzie nietknięty,
Ułożył worki ze złotem. —
Madonna dziecię tuli do łona,
On modły wznosi w pokorze:
»Niech Boskość Twoja tego dokona,
Co grzeszny człowiek nie może!
Żyd Eleazar niechaj się dowie,
Wszak tu o Twoją cześć chodzi,
O Twój Majestat! — niechaj nie powie,
Że Twa poręka zawodzi!«

Ukląkł, przeżegnał i całą siłą
Odepchnął barkę od brzegu.
Niebo gwiazdami lazur pokryło,
A barka w pełnym już biegu.
W stronę Wenecyi płynie bezpieczna...
Ucichła burza rozwiana,
A poza barką, jak droga mleczna,
Zostaje smuga świetlana.
Fabijo z brzegu wzrok swój wysila
Za barką, co mknie w pomroku,
Gdzie się ku morzu niebo pochyla
Za widnokręgiem w obłoku.

VI.

Nazajutrz rankiem w Adryatyku
Słońce się kąpie i mieni
Tęczową barwą w każdym promyku
Weneckie gmachy rumieni.
Z dala poranną pieśń marynarzy
Słychać z okrętów przystani
Na cześć patronki wód i żeglarzy,
Tej Gwiazdy morza i Pani.
Powierzchnia wody mgłą przyodziana,
Po której płynie bez szmeru,
Jakby ułudne fata morgana,
Barka, z Madonną u steru.

Skręca ku miastu w powiewnych zwrotach
Statek, od innych odmienny.
Staje przed domem, tam, gdzie na wrotach,
Był świecznik siedmioramienny.
Drzwi się otwarły domu obronne,
W nich Eleazar brodaty,
Gdy spostrzegł barkę, poznał Madonnę,
Która mu wiozła dukaty.
Dług Eleazar odebrał święcie,
Patrząc na barkę w zdumieniu
Gdy już Madonna nikła na skręcie,
W porannej zorzy promieniu,

. . . .

Fabijo wrócił w rodzinną stronę —
Tak głosi ludu gawęda, —
Czy Dalmatynkę pojął za żonę, —
O tem nie pisze legenda.

MODLITWA.

My naród grzeszny, snać jeszcze nie godny,
By Pan nad Pany zmiażdżywszy tyranów
Odsłonił Polsce dzień jasny, pogodny,
Bo giniem marnie pod ciosem kajdanów.
Boże! Nie pomsty żądamy nad wrogiem,
Lecz byś go natchnął człowieczymi zmysły,
Bo wróg ten nawet z Tobą, jako z Bogiem,
Bój ciągły wiedzie. — Spraw, by siły prysły
Tego, co prawa Twoje lekceważy:
W obrońcach wiary, on widzi zbrodniarzy.

Wróg ten zacięty niecną walczy bronią,
Plugawi miejsca poświęcane Tobie,
Okradłszy skarbce świętokradzką dłonią,
Harce wyprawia na poległych grobie.
Zburzywszy krzyże, popalił świątynie,
Szyzmę knutami do gardła nam wtłacza,
Zsyła rodziny w sybirskie pustynie
I naród polski zamienia w tułacza,

I pędzi w Sybir, gdzie północna zorza,
Wziąwszy nam Polskę od morza do morza.

Dziś my w niewoli. Ale tylko Bogu
Wolno nas karać. Czemu dzika tłuszcza
Wdarła się do nas i na każdym progu
W kościołach naszych zarazę zapuszcza?
A w Częstochowie, tam, gdzie cudów wiara,
Siepacze z bronzu stawią pomnik nowy,
Bronz z armat polskich, i posąg ten cara
Tyłem zwrócili do polskiej Królowy!
Lecz kiedy iskra powstania zatleje,
Posąg się cara w armaty przeleje.

Spojrzyj, o Boże! rosyjska gonitwa
Miażdży bezkarnie nasze bujne łany,
Cóż nam zostało? Modlitwa i bitwa...
Lecz tyle razy oręż wytrącany
Z rąk naszych, pada, a my w własnej ziemi
Giniem bez chleba, bo wróg uciemięża.
Kiedyż nareszcie rozprawim się z nimi!
Czyliż bezprawie nad prawem zwycięża?
Do nowej walki daj hasło, o Boże!
By pomścić Pragę! Oszmianę! i Kroże!
Natchnij nas, Boże, duchem wojowników,
Co się zajęli Polski odbudową.
Natchnij w nas ducha tych Belwederczyków,
Co broń podnieśli w noc listopadową,

Daj nam wytrwałość walecznych Czwartaków,
Rozpruć bagnetem graniczne poddaństwo,
Połączyć Gniezno, Warszawę i Kraków,
Jak dawniej było, w jedno polskie państwo,
W jedno, bez działu! jak za Jagiellonów.
Przywróć tron polski! a... zwolnij od tronów.

Ach! sprawisz, Boże, gdy chwila uderzy,
Że się na polach Grochowa zagony,
A raczej groby poległych rycerzy
Z posad poruszą, a z nich legiony
Naszego wojska powstaną na nowo,
Starych ułanów obudzi się wiara
I chorągiewki powioną nad głową...
Z pieśnią na ustach szabel błyśnie chmara! — —
Wtedy zwyciężym, — — Gdy Ty będziesz z nami
Jako pod Stoczkiem i Racławicami.

ŚPIEWY ZE SZTUK LUDOWYCH

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

AKT I.

(L. I). TOMEK.

Nuże chłopcy z dziewuchami
Krzeście ognia podkówkami,
Chałupa się nie zawali,
Boć ją nową zbudowali.

FRANKA.

Bociek siedzi już na dachu,
Nie bedzie o bide strachu,
Chałupy się sczęście cepi,
Kaj jaskółka gniozdo lepi.

TOMEK.

Bij obcasem o podłogę.,
Choćbyś z butem strzaskoł nogę,
Boć to wójta nowo chata,
Będzie stała setne lata.

FRANKA.

Ściany z drzewa, dach słomiany,
Każdy kącik poświęcany,
Od pożaru strzeż ją, Panie,
I ty, święty Floryjanie.

(L. 2). JÓZEK.

Kto wymyślił tych zołnierzy,
A bodaj go, a niechze go,
Bić się kozą jak nalezy,
Niewiem poco i locego.

W doma tatuś cięgiem tłuce,
Alem tego juz zwycajny,
W wojsku, nim sie co naucę,
Zbije kaprol i gemajny.

Gdyby nie proch, kule, dzidy,
Spięcie ciasne, jak pancerzem,
Toć, Bóg świadkiem, ze od bidy
Chętnie ostołbym zołnierzem.

ZAWROCINA.

Słuchaj rady i przestrogi,
Jutro o samej północy,
Pójdzies na rozstajne drogi
Ze zawiązanemi ocy.

Abyś nikaj nie postawoł,
Pij te leki rogiem z byka,
A będzies im się wydawoł,
Jak przez zębów i języka.

(L. 3). CHÓR DZIEWCZĄT.

Pamiętojcies parobecki,
Ze puscomy dziś wianecki.

CHÓR PAROBKÓW.

Nie osiędą na mieliźnie,
Zoden nom się nie wyśliźnie.

WSZYSCY.

Komu wionek się wyśliźnie,
Ten osiędzie na mieliźnie.

AKT II.

(L. 4). CHÓR DZIEWCZĄT.

Już niebo złocą gwiazki jaskrawe
Jak białe róże w ogrodzie,
Radeby one popłynąć żwawe
Jak nasze wianki po wodzie,
Bo tylko na rok raz,
Puszczamy w wodę was.

HANKA.

Czy też luby pozna mój,
Gdy ich wraz popłynie rój?

Gdy go miną jego dłonie,
To wianuszek mój utonie.

FRANKA.

Mój już uwity, ach popłyń w dal,
Odmęty mijaj, a strzeż się fal.

HANKA.

Wianku mój mały, dziewcząt ozdobo,
Strzegę twej cnoty jak anioł stróż,
Nawet do grobu wezmę cię z sobą,
Gdyby mnie Tomek nie kochał już.

Popłyń swobodnie i bez przeszkody,
A gdy mój luby spostrzeże cię,
Wyciągaj listki ku niemu z wody,
Wartko do brzegu przybliżaj się.

(L. 5). EDZIO.

Głupia Franusiu nie bądź uparta,
Mojem żądaniem zaszczyt przynoszę,
Pomyśl, cóżeś ty w obec mnie warta?
A ja cię jednak o całus proszę.

FRANKA.

Ach! panicu, chces mnie zgubić,
Zascyt twój mą hańbą będzie,
Wszak nie mógłbyś mnie zaślubić,
Bom ja chłopka, miej na względzie.

EDZIO.

Więc ci przysięgam! na... wiatr, co szumi,
Przysięgę moją dochowam stale,
Skoro twe serce mą myśl zrozumie...,
Kupię ci w mieście piękne korale.

FRANKA.

Puscaj mnie, bo pozałujes!

EDZIO.

Darmo probujesz twej siły.

FRANKA.

Umknies, gdy mą dłoń pocujes.

EDZIO.

Nigdy, choćby gromy biły.

(L. 6). JÓZEK.

Hań wedle ugora,
Na rozstajnych drogach,
Goniła mnie zmora
Na wysokich nogach.
Az drze cały, az truchleje,
Nie wiem, co się ze mną dzieje!

Róg wypadł mi z łapy,
A mary wciąz rosły,
Z brodami jak capy,
A usy jak osły.

Uciekam, co mogę,
Przestrasony wielce,
A tu mi zaś drogę
Zachodzą topielce.

Wtem djoboł wyskocy,
Dym bucholł mu kłębem,
Świecące miał ocy —
Włos stanął mi dębem.

A chociaz kzycołem,
Do wody mnie wlekli,
Gdy się przezegnołem,
Dopiero uciekli.

(L. 7). CHÓR.

Straśny Józek z ciebie ciura,
Wyglądos jak z barscu rura,
Nie worcien jesteś wspomnienia,
Kiej sie bois swego cienia.

CHÓR PAROBCZAKÓW.

Ślicne nase łąki, pola,
Szumne lasy, zyzne pola,
A złociste, bujne zboze,
Jako nase dziewki hoze,

Nasej rzeki srebrne fale,
Jak perłowe lśnią korale

Oświecone mnóstwem wianków
Raźno płyną od kochanków.

Hej dziewczęta krasawice,
Modre oczka, białe lice,
Raźne w tańcu i kądzieli,
Aż się Pan Bóg z was weseli.

Nuże, bo już grają dutki,
A przy ogniach od sobótki,
Zatańczemy, choćby miała
Echem dudnieć ziemia cała.

AKT IV.

(L. 8). TOMEK.

Wszyćkie miotły wysprzedołem,
Aby wrócić z piniądzami,
Wtem, o dziwo, przed kościołem
Siedzioł kramoż obrazami.

Skokom z wozu jednym susem,
Biegnę ku obrazom dalej,
Bo Matka Bosko z Jezusem,
Kieby ockami mrugali.

I bez targu, co do grosa
Zapłaciułem, siła ządoł,

Wzniusłem obraz pod niebiosa,
On przecie na mnie spoglądał.

O! spoglądaj na nas, Boże,
Nie opuscaj w przykrej doli,
Jeno łaska Twa pomoże,
Gdy niewinna krzywda boli.

I jakąś otuchą zdjęty,
Że nam ześle pociesynie,
Kupiułem ten obroz święty,
Boć on w Polsce z cudów słynie.

KUPLETY.

(L. 9). ROCH.

Hej, wy, ludzie, proste kmiecie,
Co was Chamem w mieście zwą,
Gdy głupcami być nie chcecie,
Słuchajcie, co powiem wom:

Zamiast w karczmie pić gorzołe,
Żydowi ładować trzos,
Zburzyć karczmę, stawiać szkołę,
I ciemotę zgubić w roz.

WÓJT.

Złe nastały teraz casy,
Ze az dla nas wielgi wstyd,

Bo nom bierą wsie i lasy,
Albo Niemiec, albo zyd.

Dziś na szlacheckim zagonie
Mało ujzeć szlachty tuz,
Co ojców zebrały dłonie,
To młodzi stracili już.

ZAWROCINA.

Kiej się cary nie udały,
Wszyćkie gusła rzucom w kąt,
Ale jeden urok mały
Załozę, nim wyjdę stąd.

I pod tyjatrem w przedsieniu,
Zakopię z carami słój,
By na kazdem przedstawieniu
Było publicności rój.

BŁĘDNE OGNIKI.

AKT I.

(L. 1). FLOREK.

Rosną gruski na jabłoni,
Zadno mi się nie obroni,
Któro raźno chce być zoną,
Niech się kręci jak wrzeciono.

ZOŚKA.

Kto chce zbierać, niech zasiwo,
Potem zbioru się spodziwo,
Wom się starać o nas godzi,
Złób do konia nie przychodzi.

GODLIEB.

Meine liebe Polaki, Polaki wieśniaki,
Jakowe to duraki, duraki z was,
In eigene Vaterland, ojczyznu, ojczyznu
Do bogaty spuściznu wpuszczacie nas.

KUBA.

Kusy kozioł włozł do szkody,
Nie wprowodzoj do nos mody,
Na co się twe sprynce zdały,
Lepiej zmykaj, pókiś cały.

BAŚKA.

Ziemia jęcy pod nogami,
Jak się tańcy z parobkami.
A jak uściśnie z miłości,
Jaze w człeku trzescą kości.

(L. 2). DUWID.

Kogo w głowie bolą zęby,
Temu z dziąsłem wyrwę z gęby,
Z obcęgiem przytne języka,
Już chłop potem nie wykrzyka,
A pijawki ekstra fein,
Piją chłopską krew jak wein.

Z brzytwą i bez brzytwy gole,
Stawiam bańki, choć nie kole,
Krwi upuszcze, choć już mało
W waszych żyłach się zostało.
Wiwajt! niech żyje ten kraj,
Galicyja, to nasz raj.

Jak kapitał swój pomnożę,
W sukiennicach sklep założę,
Potem całe sukiennice
Obrócimy na bóżnicę,
U was rozum, u nas Geld,
Wir kaufen die ganze Welt. i t. d.

(L. 3). PAWEŁ.

Śniłoć mi się jak na jawie,
Zem mój kawał ziemi,
Obsioł calusieńki prawie
Ziarnami zytniemi.

W moich ocach rosną kłosy,
Biorę się do żniwa,
Lecz, co machne, a z pod kosy
Wyrosto pokrzywa.

Na to jąłem się urągać,
Ze na nowo zorze,
Pług dobywam, chcę zaprzęgać,
A pusto w oborze.

Wtem harendorz się pojawio,
I za kark mnie bierze,
Przy dyślu od pługa stawio,
Kiejby jakie zwierzę.

I zaprzęgnął ci mnie duchem,
Włócę pług po roli,
Wio! wio! — krzycoł mi nad uchem,
Batem biuł do woli,

(L. 4). ŚPIEW NA WOZIE.

Nie labidź, boś chciała,
Da z twojej przycyny,
Żeś bardzo kochała,
Teroz sprawioj chrzściny.

(L. 5). URBAN.

Oj wziena mi biedne serce,
Jedna ze wsi dziewcyna,
Ale swego dać mi nie chce
Dolaz moja jedyna.

Lec choćbym mioł w butach nogi
Schodzić aze po kolana,
Choć złe drogi do niebogi
Dolaz moja kochana,

Cóż pomoze zalicanka,
Gdy nie sprzyjo rodzina?
Albo wzgardzi mną kochanka —
Dolaz moja jedyna.

Wiem jo, cym serce utule,
Pudę do niej wcas zrana,

Oświarce się o Ursule —
Dolaz moja kochana.

(L. 6). KUBA.

Kokoszecki śpią na grzędzie,
Jakże dziewki z nami będzie,
Do tańca nóg nie pożałuj,
Jak mnie kochos, to pocałuj.

AKT II.

(L. 7). URSZULA.

Szumi wicher po dolinie,
I zielony szumi gaj,
Oj markotno jest dziewczynie,
Gdy ją mija szczęścia raj,
Ni wesela, ni pociechy,
Jak za ciężkie cierpieć grzechy.

A serduszko cięgiem puko,
I ulecieć z piersi chce,
Czegoś pragnie, czegoś szuko,
Aby rozweselić się.
Ono myśli o Urbanie,
Tam odpocznie, tam zostanie.

Bez nadziei pędzić życie,
Jako zwiędły w polu kwiat,

Ciche łzy wylewać skrycie
I wyrzekać na ten świat.

URBAN *(kończąc)*.

Urszuleczko przy Urbanie
Niech serduszko twe ostanie.

AKT III.

(L. 8). KUBA.

Rośnie żyto jak chabina,
Wybujały złote kłosy,
A ździebełka kiejby trzcina,
Aż sięgają pod niebiosy.

CHÓR.

Oj da, dana, dana, dana,
Dziewcyno moja kochana.

ZOŚKA.

Kto nie zasioł ziarna z wiosną,
Ten sie dzisiaj nie rozśmieje,
Bo mu w polu chwasty rosną,
A kosa i pług rdzewieje.

CHÓR.

Oj da, dana, przed żniwami,
Potańcujmy z dziewcętami.

KUBA.

Gospodarzu, strój narzędzie,
Boć chleb nowy o tem świarcy,
Że go u nos dosyć będzie
I lo obcych wystoparcy.

Oj da, dana, chłopcy zuchy,
Nuz w podrygi, do dziewuchy.

ZOŚKA.

Z nowej mąki kukiełecki
Gospodynie zsykowały,
Pójdźcies do nos parobecki,
Jak wom będą smakowały.

CHÓR.

Poświęcamy, toć i zdrowy,
Bo to chleb nas narodowy.

ŚPIEW FLISAKÓW.

(L. 9). CHÓR.

Na falach wody łódeczkę płynącą,
Jak ludzkie życie, kołysze burza,
Często ją o brzegi skaliste potrącą,
Rozbite szczątki woda zanurza.

CHÓR ŻEŃSKI.

To flisaków lube śpiewki
Słychać już.

CHÓR MĘSKI.

Płyną po nas lube dziewki,
Płyną tuż.

CHÓR FLISAKÓW.

Flisak swobodny, burzy się nie lęka,
Na wodach zrodzon, z galarem się zna,
I na galarze przed kochanką klęka,
Chrzest i wesele i pogrzeb tu ma.

CHÓR OGÓLNY.

Do galaru więc wsiadajmy,
W wodny świat,
I wśród pląsów odpływajmy
Do swych chat.

MODLITWA

(*na galarze chórem ogólnym*).

Błogosław, Boże, nam chleb i niwę,
I tegorocznych ziarnek Twych plon,
Daj urodzaje Polsce szczęśliwe,
Swobodne życie, a wskrześ jej zgon. —

Bo naszej ziemi któż nie zazdrości?
Byle ją tylko pokochać chciał,

Praca i jedność, gdy tu zagości,
A zbiór obfity z niej będzie miał.

(L. 10). URSZULA.

Straszno na dworze, w klasztornym lochu
Huczą po nocy puszczyki,
A życie moje niknie potrochu,
Jako te błędne ogniki.

Oj, gdzie mam szukać przychylnej duszy,
Powiedz, Ty, miły Mój Boże?
Bo któż sierotce łezki osuszy,
Gdy sobie radzić nie może.

Pójdę na grobek mojej matuli,
Modlitwą wskrzeszę jej ducha,
Jej cień mnie do swej piersi przytuli,
Narzekań moich wysłucha.

URBAN.

Nie płacz, nie zawódź, twe łzy perłowe,
To pomsta twojej niedoli,
Wiedzą na czyją spaść mają głowę,
Wyplenić chwasty po roli.

Jeśli mnie kochasz, jak ja, dziewczyno,
Zechciej być moją, Urszulo,
Pójdziem bez ciernie jedną drużyną,
A Bóg nam będzie matulą.

AKT IV.

(L. 11). URSZULA.

Zanim poślubisz kochanka,
Patrz, cy serce w nim bez skazy,
Czy on godzien twego wianka,
Nie na gładkość jego twarzy.

Gdy mu w polu pług zadzwoni,
Po ojczystej wiedzion grzędzie,
Zamiast szklanki, kosa w dłoni,
Z takim zawsze dobrze będzie.

URBAN.

Ożenić się, kto rozumie
Pojąć dziewczynę od roli,
Bo to ani mdleć nie umie,
A ni głowa ją nie boli.

Miejskie panny dychawicne,
Aptekę im trzymoj w domu,
Rano brzyćkie, wiecór ślicne
Durzą wszystkich pokryjomu,

CAPIKOWA.

Mom chrześniaków ze dwa pułki,
W kumach przeszedł wiek mój młody,
Otworze do mej szkatułki.
Roz przed śmiercią sprawie gody.

Od pierwszych chścin lot nie mało
Będzie na święty Mateus,
Zaprosze gromadę całą
I odprawie Imbieleus.

WIARA, NADZIEJA I MIŁOŚĆ.

AKT I.

(L. I). CHÓR OGÓLNY.

Plebaniją przy tym święcie
W uroczyste strojmy szaty,
Proboszczowi na przyjęcie
I pod nogi rzucać kwiaty.

PAROBCY.

Jak do raju ze zieleni
Brama stoi zielono
Aż się niebo zarumieni
Jak światełka zapłoną.

CHÓR.

Gdy promienie znikną słońca,
Wnet jutrzenki brzask zatleje,
Bóg zsyła światło bez końca,
Co dniem i nocą goreje.

PAROBCY.

Uczcijmy powrót plebana,
Boć pasterzem tej wioski.

DZIEWCZĘTA.

Z kwiatów mleczna droga słana
Gdzie posłannik jest Boski.

CHÓR OGÓLNY.

Toć to będzie krzyku, wrzasku
Powitania jegomości
Tańce przy światełek blasku
I uciechy całej włości.

CHÓR.

Przybywaj zacny ojcze kapłanie,
Niech Cię gromada wita stęskniona
I stopy Twoje na powitanie
Obejmą w uścisk nasze ramiona.

DZIEWCZĘTA.

Z róż usłanych tu kobierce
Przecudną wydają woń,
Jak płonące ludu serce
I wielebną wieńczą skroń.

CHÓR OGÓLNY.

Nie porzucisz wiernych synów
I przez progi rajskich bram

Wśród chwalebnych Twoich czynów
Niebios drogę wskażesz nam,

KRAKOWIAK

(L. 2). MICHAŁ.

Pod Walkową strzechą siedzi jaskółecka,
Da, jest ci tam dla mnie świarniutko dziwecka.
Świarniutko dziwecka, odemnie kochano,
Bo mo gospodarkę i pieniądz na wiano.

BRONKA.

Kołyszą się brzozy, skoro wiatr zawieje,
Da, który z parobków za mną nie szaleje,
Jeno okiem mrugnę, już głowę zawróce,
Jednego wybiorę, a resztę odrzuce.

MIKOŁAJ.

A która mnie pojmie, nie będzie żałować,
Bo ją będę roz wroz ściskać i całować
Niech mi ciągle z miską podstawia jedzenie,
To mnie do roboty kijem nie wyżenie.

SMOCZYNA.

Hucą grzmoty, hucą, na niebie pochmurno,
Da, bidno jo wdowa, ale jesce jurno,
A choć się za sto lat trochę podstarzeje
Jak wyjdę za chłopa, znowu odmłodnieje.

BARBARA.

Mam ci dosyć gospodarki
I pieniędzy pełen trzos,
I dukatów cztery miarki,
Ale coś mnie gnębi los,
Choć mi nie brak soli, chleba,
Coś innego mi potrzeba

Pełno w skrzyni, znać dobytek,
I pierścienie kiejby skry,
I korali sporo nitek,
A w ocach się kręcą łzy.
Boć nie zdolne dać piescoty.
Korale, ni pierścień złoty.

Da, rozwiałabym po błoni,
Moich skarbów pełną dłoń,
Temu, ktoby do swej skroni
Chciał moją przytulić skroń.
Oj! to serce nieszczęśliwe,
Napół martwe, chociaż żywe.

AKT II.

PIEŚŃ POGRZEBOWA.

MADREJ.

Pod Twe stopnie Majestatu
Przyjmij Boże zmarłych ducha,

Niech za grzechy z tego światu
Przebaczenie znajdzie skrucha.
O Maryja.

Gdy na odgłos Archanioła,
Na dolinie Józefata,
Tam na zmarłych Bóg zawoła
O rachunek z tego świata.
O Maryja.

Człowieku, marne stworzenie,
Pamiętaj na twe zbawienie,
Skoro duch ciebie porzuci,
Ciało w ziemię się obróci.
O Boże!

A gdy na sąd ostateczny
Wszystkich wskrzesi Bóg przedwieczny,
Ziemia trupów wyda z łona,
Gwiazd i słońca promień skona.
O Boże!

Zadrżą tam skryci zbrodniarze,
Gdy przedwieczny Bóg im wskaże
Bramę piekieł, w których na dnie
Dusza ich w mękach przepadnie.
O Boże!

9*

AKT III.

CHÓR.

Da, okrasi zeschły wieniec
Uroda, uroda,
Pojmie gdowę oblubieniec,
Bo młoda, bo młoda.
Hu! ha!

JURACHA.

Z Bogiem w świat pójdę w dal,
Choć za domem serce płacze,
Jeno mi Bronki żal,
Bo jej więcej nie zobaczę.
Żegnam was, żegnam cię,
A w modłach wspominaj mnie.

Zimny grób, zimny świat,
Niema serca dla sieroty,
Szkoda mych młodych lat,
Bez kochania i pieszczoty,
Niema tu jednej łzy,
Nie ma kto sprzyjać mi.

Żegnaj mi Bronko ma,
Pogardziłaś mną nieboże,
Serce me z bólu drga,
A zapomnieć cię nie może.

Z Bogiem w świat, pójdę w dal,
Jednak mi Bronki żal.

SMOCZYNA.

Łacniej okiem przegrontuje
Dno morskiej głębiny,
Nim odgadnie, czy pasuje
Chłopiec do dziewcyny,
Bo jak ich miłość oślepi,
To ich kijem nie odcepi.

MIKOŁAJ.

A najbardziej narzeceni,
Przed ślubem świergocą,
Jak skowronki wśród zieleni
Skrzydłami trzepocą,
Aże jedno straci głowę,
Miast skowronka pojmie sowę.

SMOCZYNA.

Ja, com siedmiu mężów miała,
A wszystkich Bóg zbierał
I takiegom nie dobrała,
Coby nie umierał.
Choć tak jestem niescęśliwa,
Ósmego mi się zachciwa.

Jeno panny do małżeństwa
Nie poddajcie karki,

Niech już gdowy te męczeństwa
Biorą na swe barki,
Gdy się roz puściło wionek,
Nie złapać go na postronek.

BRONKA.

Ej, chłopczyno! jaką winą
Niszczysz kwiaty naszych błoni?
I bezkarnie niszczysz marnie,
Aż zawiędną w twojej dłoni.

Oj, nieboże! trafisz może,
Na kwiat, co w swym pączku kryje
Żądło pszczole, co ukole
I swym jadem cię zabije.

MADREJ.

Zostały mi trzy kochanki,
Choć ich głów nie zdobią wianki,
Jednak serce ku nim tchnie,
Gdy goryczy przyjdzie czara,
Nadzieja, Miłość i Wiara
To przy życiu trzyma mnie.

Wiara, to mej liry pienie,
Z nią wygłaszam me natchnienie, —
Bóg wie, skąd dobywam ton,
Płynie rzewny głos po łące, —

Ile razy w struny trącę,
Płynie pod niebieski tron,

Druga — Nadzieja się zowie,
To torby mojej pustkowie,
Co na starym grzbiecie lgnie,
Oj ta kochanka zwodnicza
Często z darem mnie przelicza,
A zbyć jej nie mogę — nie.

Trzecia — Miłość, tylko ona,
Którą przytulam do łona,
I w ukryciu chowam ją;
I wraz z tą laską żebraczą,
Słodzi mi dolę tułaczą,
Wszędzie ze mną, a ja z nią.

AKT IV.

ŚPIEW DZIADÓW.

Na odpustach dziadów plemię
Od zamówionych pacierzy
Grosza zbierze spore brzemię,
Lecz niech temu nikt nie wierzy,
Aby dziady na wyskoki
Pacierz gnały pod obłoki.

RAZEM.

Daj osobo grosz z litości
Dla dziadowskiej opatrzności,

DZIAD I.

Jam był z dziada i pradziada
Wielmożnie oświecony,
Światło zgasło, trudna rada,
Bom do pracy niestworzony.
Dłoń, co dziś po grosz wyciąga,
Setki starła do szeląga.

DZIAD II.

Pułk dziadowski ciągle wzrasta,
Za pogrzebem, odpustami,
Znam i pańskich dziadów z miasta,
Choć nie żebrzą między nami,
Świat ich wspiera zapomogą,
A jak koń pracować mogą.

RAZEM.

Wesprzyj osobo nabożna,
Pieniądzmi wyższa od tłumu; —
Prędzej od nich grosz mieć można,
Niżeli za grosz rozumu.

BRONKA (*dumka*).

Gdzieżeście znikły, wy złote chwile,
Rozkoszy mojej swobodne dni?
Jako spłoszone z kwiatów motyle,
Po których gorycz została mi.

Kochałam lube mej wioski łany,
Strumyk, co szemrze u wzgórza stóp;
A dziś świat dla mnie kirem odziany,
Wszystko się w jeden zamienia grób.

Ojcowie w ziemi, któż mnie przytuli?
Dla innej, luby porzucił mnie,
O! weź mnie, Boże, do mej matuli!
Matko! daj rękę — ja umrzeć chcę!

Po śmierci nocną porą się zjawię,
W piersi kochanka utopię wzrok,
Jak dwa zarzewia w sercu zostawię,
Mnie zmarłą ujrzy, gdzie stąpi krok.

ŚPIEW WESELNY ZA SCENĄ.

Da, weselne gody. Radość dla dziewcyny,
Zdejmie ci pon młody z głowy rozmaryny.

MODLITWA.

Synu Boży! Tyś swym cudem
W niebo wstąpił z Tabor szczytu,
Szczepiąc wiarę między ludem,
Obiecując raj błękitu.

Odsłoń niebo, z poza słońca
Duch gołąbek ku nam wzleci,
Głosząc mądrość Twą bez końca,
Wszystkim jeden krzyż niech świeci!

DZIEDZICTWO ORŁÓW.

AKT I.

CHÓR.

Da, na całym świecie ziemia daje plony,
Ale najbujniejsze orłowskie zagony.
Da, choćby człek posiał kamieni na grzędzie,
To z nich nasza ziemia zboże wydobędzie.

DZIEWCZĘTA.

Każdy krzaczek i drzewina
Obrodził owoców rój.

PAROBCY.

Kłos zbożowy, kiejby trzcina,
A pełniuśki — Boże mój.

CHÓR.

Oj, da, kędy okiem dosięgniesz po polu,
Urodzaj bogaty z kwiatem bez kąkolu.
Da, ścierniami sterczy od wyżynku pole,
A cepy na kłosach potłuczem w stodole.

HELKA.

Obdarzona ziemia zbiorem,
Snać dziedzica kocha Bóg,
Toć kłosami pode dworem,
Wyścielema cały próg.

Dla panienki dziedzicowej
Mamy w wieńcu polny kwiat,
Jak koronę dla królowej,
Co jej cześć oddaje świat.

ANTEK.

Byłoć żniwo, jakich mało,
Już związane zboże w snop,
Aże w ziemi coś jęczało,
Kiedy kosą machnął chłop.

Boć chłop umie kosą zmiatać,
Sztandar z kłosów górą nieść,
Kaj tam innym z nim się bratać!
Cześć przed chłopem w polu! Cześć!

CHÓR OGÓLNY.

Da, słonko zachodzi, kiejby na spoczynek,
Wyjdź do nas, dziedzicu, odebrać wyżynek,
Złoto w naszej ziemi, gdy Bóg szczęści roli,
A przy pracy, z biedy wyjdziemy powoli.

AKT II.

ŚPIEW OGÓLNY ZA SCENĄ.

Wnijdźcie pod strzechę waszego ludu,
Gdzie życie płynie wśród pracy, trudu,
Jako pod bożem nieba sklepieniem,
Niech wam ta chata będzie schronieniem.

ŁYKANTY.

Chata dla chłopstwa, dwór dla dziedzica —
W dzisiejszych panach trudnoć szlachcica,
A jeśli doszli dziś do honoru,
Bo się trzymali klamki u dworu.

AKT III.

HELKA.

Jak w cygańskim obyczaju
W świat wędrować lubią pany,
Snać nie wiedzą, że tu w kraju,
Len wyrasta na sukmany.

Po co szukać obcych stroi
I tu fraczek się przykroi,
Świecidełka i koronki,
Złote wstęgi lub... postronki.

Lecz fortunka, gdy ulcci,
Wrócą drogą wyżebraną,

Prosić będą własnych kmieci,
By im nakryć grzbiet sukmaną.

Wtedy już się nie wystroją
W kurtę, co im... obcy skroją,
A ze wstążek i koronek
Zostanie im na... postronek.

ŚPIEW DZIEWCZĄT.

Do zabawy, cna dziewojo,
Po swej pracy spiesz,
Gdzie się błonia kwieciem roją,
Pełną dłonią bierz.

A w młodości, gdy tęsknica
Opanuje cię,
Zwróć ku niebu smętne lica.
Bóg rozjaśni je.

GÓRNICY SALIN.

AKT I.

Kiedy ranne wstają zorze
I z uśpienia budzą świat,
Słońc promienie mkną w przestworze,
Złocąc polnych łanów kwiat.

Lecz w kopalni, tam głęboko,
Choć promień nie sięga tam,
Słońcem dla nas Boże oko,
Zawsze w pracy świeci nam!
Szczęść Boże!

Z Bogiem wstępuj w kopalń tonie,
Bo tam zdradnych czarów kraj,
Śmierć na każdym kroku zionie,
Boże! szczęsny powrót daj! —
Szczęść Boże!

AKT III.

W ziemi otchłani, tu spracowani
W wiecznej bez słońca ciemnicy,
Jak krety ryją, jak duchy żyją
Sławnej Wieliczki górnicy.

Solne pokłady, tych skał gromady,
Które się piętrzą, jak w morzu,
Wiekami dawne, bogactwem sławne,
Po całem świata przestworzu.

Śmiało, górnicy, niech od prawicy
Ciosy kilofa w sól świsną,
Nim braknie soli w podziemnej roli,
Nieznane skarby wytrysną! —

FRAGMENT

Z DRAMATU CZTEROAKTOWEGO

GÓRNICY SALIN

AKTU III, ODSŁONY I.

AKT TRZECI.

ODSŁONA I.

Scena przedstawia wnętrze zawalonej groty w kopalni z lewej na przodzie sceny wśród gruzów leży bezprzytomny młody górnik **Antoni**, obok niego prawie nieznacznie się rysujący omszały szkielet człowieka z czaszką oddzieloną od tułowia. Za Antonim na wzniesieniu siedzi **Czarny duch** z takiemiż skrzydłami. W chwili podniesienia zasłony słychać muzykę i widać w głębi tańczące **Nimfy** w strojach fantazyjnych, na scenie zupełnie ciemno, oświetlenie stanowią połyskujące od światła elektrycznego dyademy na głowach nimf.

SCENA I.

ANTONI. CZARNY DUCH. NIMFY, *poczem* BIAŁY DUCH.

BIAŁY DUCH (*z białemi skrzydłami, po chwili wchodzi, daje znak*, NIMFY *przestają tańczyć muzyka milknie*).

Przestańcie siostry, niech pląsów biesiada
Nad zawaloną ofiarą ustanie,

Królewna sama tu przyjdzie i zbada
Sprawę górnika.
Tu sądu zebranie.
Przybywam tutaj z królewny ramienia,
Aby ofiary nie budzić z omdlenia.

NIMFA I.

Cny aniele, stróżu biały.
W łonie ziemi my tu w domu,
Świat podziemny to nasz, cały.
Tu bezkarnie wejść nikomu
Nie pozwoli Nimf królowa.
Gdy tu czyja padnie głowa,
Już żyjących przeszedł szranki,
Zginąć musi! —

CZARNY DUCH *(wstaje i zbliża się do nimf).*

Koleżanki
Za mną proszę trzymać stronę,
Wnoszę skargę do królewny.

BIAŁY DUCH.

Lecz ja biorę go w obronę...

CZARNY DUCH.

Ja wygranej jestem pewny.
Ten zbłąkany w mej zdobyczy,
Już zwikłany w moje sidła,
Niechaj biały duch nie liczy,

Że go schronią jego skrzydła.
Bo ten górnik tu się wkradał,
Gdzie zaklętych skarbów runa,
Już sam sobie klęskę zadał.
Wkrótce życia pęknie struna,
Już pół martwy, skonu blizki
Piekło weźmie go w uściski.

BIAŁY DUCH.

Duchu pokusy, powstrzymaj zamiary,
Opatrzność czuwa nad zbłąkaną duszą,
Która go zwolni od piekieł i kary,
Bo go górnicy stąd wydostać muszą.

CZARNY DUCH *(z ironią)*.

Tam za ścianą sporo ludzi,
Kilofami walą skały,
Lecz się zastęp darmo trudzi,
Choć rozkopią piece, działy,
Choć przebiją loch podziemny
Od Wieliczki do Olkusza,
Tam, gdzie srebra świat tajemny
Rzeki Baby [1]) nurt zagłusza,
Kiedy w przepaść z szumem płynie,
Gdzie spienione toczy wody

[1]) Rzeka Baba kończy swój bieg pod Olkuszem, gdzie jej wody wsiąkają w ziemię.

I w kopalni srebra ginie,
Tak tu górnik zginie młody,
Bo nie trafią w punkt tej groty,
Jam kierunku zmylił drogę,
Darmo kruszyć będą młoty;
Stąd bezpiecznie wziąć go mogę.

BIAŁY DUCH.

Niech królewna skał podziemnych
Da mi tylko pozwolenie,
Ja przepaście kopalń ciemnych
Na słoneczny dzień zamienię.
I szukającej go tutaj dziewicy
Ukażę drogę w labiryncie dróg,
Tu go przez skały ujrzy jak w krynicy
I wyprowadzi. Gdy tak zechce Bóg.

(Zbliża się do Antoniego).

SCENA II.

CIŻ, *jeszcze jedna* NIMFA, *później* KRÓLEWNA *i* GNOMY.

NIMFA *(która wbiegła z prawej strony, do otoczenia):*

Właśnie królewna, duchów władczyni,
Zbliża się do nas rydwanem,
Oznajmia nasza piękna bogini,
Iż sprawy zajmie się stanem.

(Z prawej w otoczeniu nimf wjeżdża królewna na rydwanie z muszel, pereł i korali, który ciągną gnomy. Wszystkie otaczają rydwan z ukłonem).

KRÓLEWNA *(piękna, młoda i fantazyjnie bogato ubrana).*

Witam was, siostry.

WSZYSTKIE NIMFY.

Witamy królowę...

KRÓLEWNA.

Gdzież ten młodzieniec zuchwały w odkrycia,
Który bezmyślnie naraża swą głowę?
Chcę go zobaczyć. Czy dużo w nim życia
Jeszcze zostało?

(Wysiada z rydwanu, gnomy odtaczają go na bok, rozsiadając się po różnych odłamach skał).

CZARNY DUCH *(do królewny).*

I wiele i mało.
Wiele, bo młody, głód przestrach i groza
Nie prędko zniszczą zdrowe jak dąb ciało.
A mało życia, bo skonu obroża
Ścieśni się wkrótce. — Już śmierci oddany,
Kto tajemnicze raz przebył te ściany.

BIAŁY DUCH *(odsłania płaszcz, którym był Antoni nakryty).*

KRÓLEWNA *(zbliża się i patrzy na Antoniego).*

Piękny i młody, — a podobny z twarzy
Do tego, który tu skonał przed laty,
Zamglone oko wulkanem się żarzy;
A choć rumieńców już znikły szkarłaty,
Przecie tam serce silnem tętnem bije...

CZARNY DUCH.

Lecz zginąć musi!...

BIAŁY DUCH.

Ja mówię: niech żyje!

KRÓLEWNA.

Czy on ma zginąć, wypowie sąd ścisły,
Szala wyroku w mej dłoni,
Los podsądnego od tego zawisły,
Kto go oskarża i broni.
Niechże duch czarny zarzuty wypowie,
Które duch biały złagodzi w osnowie.

CZARNY DUCH.

Skarga ma jasna, jak płomienie znicza,
Prawda ma jedno, zbrodnia dwa oblicza,
Dlatego zbrodnię uniewinniać trzeba,
Lecz on znieważył i potęgi nieba!

(Ogólne poruszenie).

On, zwabiony skarbów marą,
Tu zuchwale szczęścia gonił,
Z rozpasaną uciech czarą,
Gdzie znak święty wstępu bronił,
On nie zważał na przestrogi,
Zaślepieniu puścił wodze,
Wszystko miażdżąc, co na drodze:
Wiara, zacność, praca z drogi,
Aże utknął na głębinie,
Tu, gdzie solnych skał martwota, —
Zamiast posiąść żyły złota,
Niech w nicestwie własnem ginie.

KRÓLEWNA.

Wstrzymaj się, duchu, bo ziemi przestworza
Nic nie zagubią.
Patrz, tu były morza,
Co przed wiekami oceanu piany
Skrzepły w opokę twardej soli ściany,
W której pokładach wrośnięte w krysztale
Tkwią palmy, muszle, perły i korale,
Bo tu jest wieczność, pełna czaru, cudów,
Gdzie ludzki rozum, ni wiedza nie sięga,
Gdzie niezbadana króluje potęga,
A tylko życiem przemawia do ludów.
Tu sfinksy nieme i potęg siedlisko,

Tu niewygasłe dla życia ognisko,
A to, w co zdobna ziemskiej kuli szata:
Cuda natury, wszystkich skarbów wątek,
To z wnętrza ziemi wyrasta dla świata
I z łona ziemi swój bierze początek.
Więc nic nie zginie, a choć się ukryje,
Jak Feniks drugi z popiołów odżyje.

BIAŁY DUCH.

Dobra królewno, daj mi nad nim władzę,
Ja go na dobrą drogę wyprowadzę.

NIMFA II.

W imię więc prośby anielskiego ducha,
My łączym swoje. Uwolnij młodziana!

NIMFA III.

Piękna królewna próśb naszych wysłucha,
On zaręczony, tam luba stroskana
Łzy rzewne roni i ręce z rozpaczy
Swe drobne łamie...
Królewna niech raczy
Wziąć na uwagę — wiek młody, uroda, —
Wszystko przemawia, że go tracić szkoda!

CZARNY DUCH *(z docinkiem).*

Widzę, że w pięknych koleżanek gronie
Jest wiele głosów, skłonnych jego sprawie,

Niechże więc raczą osądzić łaskawie,
Czemu poprzednik zginął w ziemi łonie?
(Pokazuje czaszkę, którą podniósł z ziemi).
Znacie tę czaszkę?
(Pokazuje na leżący szkielet).
Ten szkielet wyschnięty,
Który tu kopać wszedł zdrowym człowiekiem?
Otwór w tej grocie przez niego wycięty
Zamknął się spiesznie i grobowem wiekiem
Zatarasował, tak, że ludzkie siły,
By go ratować, bezskuteczne były.
A był niewinny! Świętego znamiona
Nie było przedtem, a jednak nie wrócił...
Czemu ten drugi, co w krzyża ramiona
Wytężył siły i kilof obrócił,
Ma wyjść bezkarnie?
On, co z Boga szydzi,
On, co świętego nic w świecie nie widzi...
Dobrze!... niech wyjdzie, lecz moje żądanie:
Niech i ten szkielet żyjącym powstanie!

KRÓLEWNA.

Umarli wstaną, gdy ich Bóg zawoła.
Słuchajmy zdania białego anioła.

BIAŁY DUCH.

Ten pierwszy górnik, co tu poległ w grocie,
Miał duszę czystą, pojednaną w Bogu,

Z krzyżem na piersiach, w uczciwej robocie
I czystą oddał tu na śmierci progu.
Ale ten drugi odstępca zbłąkany,
Jeżeli umrze z potępioną duszą,
Weselem zagrzmią piekła i szatany,
Tu duchy niebios ratować go muszą,
Powrócić światu, pokuta go skruszy,
Zapewnić, niebo nawróconej duszy.

(Wszystkie nimfy błagalnie do królewny).

Niechaj powraca!! —

KRÓLEWNA.

Zgoda, siostry moje.
Nim mu duch biały otworzy podwoje,
Przedtem warunek kładę nieugięty:
Jeśli w młodzianie tkwią wiary odcienia,
Gdy będzie skruchą i żalem przejęty,
Jeśli boskiego zawezwie Imienia,
Wtedy go cało wyprowadź z otchłani.
My, siostry, w drogę...

(Siada do rydwanu, gnomy się zbiegają).

BIAŁY DUCH *(uradowany).*

O dzięki ci, pani!

(Nachyla się nad Antonim z prawej strony. — Królewna i wszystkie nimfy odchodzą).

SCENA III.

CZARNY DUCH, BIAŁY DUCH, ANTONI.

CZARNY DUCH *(z zawiścią, stojąc po lewej stronie Antoniego).*

Sąd z ust królewny, jak żądło zatrute...

BIAŁY DUCH.

Oddal się, duchu, czyń inną pokutę,
Nie będziesz pokus między ludem szerzył,
Ja nad nim czuwam...

CZARNY DUCH.

Czemu w zło uwierzył?
Kiedy mu widmo ze złotem uciekło,
Gdy się zapadał, wezwał w pomoc piekło.
Tyś go uchronił, mnie wtrącił w katusze,
Znowu lat setki pokutować muszę,
I znowu ludzkie mam kalać sumienia,
Ohydą fałszu wieść do potępienia,
Zwiedzionych »zbrodnie« kłaść na szalę jedną,
Póki przy »większych«, me wielkie nie zbledną.
Ach! Kiedyż czarną tę zwlokę oponę?...
Duchu ty biały, ty weź mnie w obronę.
I, gdy powrócisz w swe kraje niebiańskie,
Wspomnij tam o mnie...

BIAŁY DUCH.

Wspomnę w Imię Pańskie.

(Daje znak, Czarny Duch oddala się).

SCENA IV.

BIAŁY DUCH *i* ANTONI.

BIAŁY DUCH *(pochylony klęcząc nad Antonim, podnosi go i opiera jego głowę na kolanie).*

Omdlał, dech ciężki, łzą nabiegłe oczy,
Pot zimny spływa po skroniach i czole,
Snać w piersiach walkę ze złym duchem toczy,
Lecz nim na płaczu zjawi się padole,
Nim umysł spocznie i ze snu obudzi,
Aby uwierzył w nieśmiertelność ducha,
Przesunę przed nim dawno zmarłych ludzi,
Gdy opór złamię, a nastąpi skrucha,
Wezwaniem Boga pokusy rozbroję...

Niechaj się dzieje wszystko w Imię Twoje!

. . . .
. . . .

SPIS RZECZY.

ŚPIEWY ZE SZTUK LUDOWYCH.